

Odszukać je, wskazać, przypiąć im do piersi krzyżyk z wstążeczką — to przecież byłby akt porachunków sumienia społecznego najdostojniejszy. To byłby z promieni słońca, rzuconych na czyn ofiarny, promień najczystszy.

Krzyżyk z wstążeczką — nic prawie. A jednak — z pokolenia w pokolenie idzie od niego głos uznanej przez naród ofiary. Bije zew sprawiedliwości, może niekiedy błędny, może wyolbrzymiony. Ale celem jego — prawda. Istotą — pokłon zasłudze. Zadaniem — kult ideału czynów poświęcenia.

* * *

Mało kto pamięta dziś stanowczość i odwagę, z jaką w 1915 r. — wobec wiadomości o coraz gorszym położeniu wygnańców polskich w Rosji — puścić się na wschód dwie już niezbyt młode i słabe fizycznie kobiety — panie Bentkowska i Jadwiga Dziubińska, wydelegowane przez Two Pomocy Ofiarom Wojny, które powstało z inicjatywy dr. T. Cieszkiewiczowej i Marji Drobniewskiej. Delegatki dotarły do zapadłych kątów, jak Czelabińsk, Troick, Kosobrodzka stanica, Hocygar, Kojelka itp. za Uralem. Stwierdziły tam bezmiar nędzy wśród zesłańców. Wielu ginęło z głodu. Niektórzy nawet w oczach delegatak, jak np. kilku Mazurów z Prus Wschodnich, zbyt wyczerpani, aby mogli przyjąć pokarm z rąk pań warszawskich.

Panie B. i D. zorganizowały zesłańców, wybrały z pośród nich przedstawiciela, który miał odbierać od konsula amerykańskiego pieniądze dla kolonji polskiej. Po rocznym blisko pobycie na Syberji wyjechały, mając zapewnioną pomoc konsula amerykańskiego w Moskwie, który przyrzekł utrzymywać stosunki z zesłańcami polskimi za pośrednictwem delegatów.

Nie wiem, czy ten czyn zasłużonych jeszcze pozatem wielkich społecznie znalazł należne uznanie w sferach miarodajnych.

W odcinku jednego z pism lwowskich, nadesłanym mi przez kogoś bez wymienienia, niestety, nazwy organu, jest artykuł p. Jana Matora, znanego dobrze Marji Wysłuchowej i Romualdzie Beaudoin de Courtenay, o trzech działaczkach na kresach podczas wojny.

Pani Małachowska objeżdżała w 1916 r. więzienia rosyjskie, odszukując jeńców polskich domagając się ich wyzwolenia, a także kary dla tych, co znęcali się nad nimi. Raporty p. M. budziły dreszcz grozy. A taką moc dziwną posiadała w sobie, że najokrutniejsi ślepacze, ci — których oddawała pod sąd, odpowiadali na jej pytania. Niema — według autora artykułu — człowieka na świecie, któryby niósł cierpiącym tyle pociechy, co ona.

W Odessie niestrudzoną działalność rozwijała panna Marja Drzewiecka, wnuczka generała, przyjaciela Kościuszki. Tysiące dzieci, które uczyła czuć, mówić, czytać i pisać po polsku, były pod jej opieką. Po wybuchu bolszewizmu — mimo strasz-

nych prześladowań — wywiozła je na Krym, wystawszy się u Ojca Świętego o pokrycie kosztów tej podróży.

Inną zgoła działalność — również w Odessie — rozwijała p. Róża Machwiczną.

Gdy po odejściu dywizji jen. Żeligowskiego, zginął tam dowódca baterji artylerji, pułk. Bartel de Weidenthal i kilku polskich żołnierzy, nikt nie miał odwagi upomnieć się o martwe ciała u bolszewików. Zrobiła to na czele kilku kobiet ułomna staruszka, R. Machwiczną. Obchodząc najwstrętniejszych katów, wydarła im ciała rodaków, a potem — drepząc od domu do domu, wyżebrała składki na pogrzeb.

Zmarła z utrudzenia. Po śmierci otrzymała krzyż Virtuti Militari, a p. J. Motor pyta z niepokojem, czy rząd polski pamiętał o tamtych dwóch działaczkach?

Opatrznością dla rodaków na krańcach Rosji, zagnana później aż do Persji, była w tym samym okresie czasu p. Regina Zienkiewiczowa, która przy boku męża doktora, pielęgnowała rannych, dźwigała na duchu rekonwalescentów, organizowała pomoc dla bezdomnej nędzy.

O pracy jej, o poświęceniu wiedzą tylko najbliżsi.

Wykaz kobiet z 1918 r. w jednej tylko sali № 26 Szpitala na Technice lwowskiej zawiera nazwiska nie spotykane nigdzie, nawet w jedynej książce o legionistkach polskich, szkicu historycznym „Ochotnicza Legja Kobiet”. (Lwów 1921).

Czyż nie należy im się odznaczenie?

Kobieta polska w zbiorowości swej zasługujena hołd, który w przyszłości dopiero złoży jej historia.

Gdy pod hasłem, że „udział Polek w budowaniu niepodległego państwa jest niezbędny,” obejmowała Liga kobiet siecią swej organizacji całe Królestwo, Śląsk i Małopolskę, na Kresach budziły się też zastępy.

Zrzeszenia Koła Polek w początkach swych jak P. O. W. były konspiracyjne, a kierowniczki ich przysięgały w tajnej organizacji wojskowej, t. zw. „Związku Broni” na tę Polskę, „którą w sercu noszą, że trwać będą wiernie na posterunku i nie splamią honoru Polski.”

W dniach lutowych 1918 r. Koło Polek w Mińsku opiekuje się żołnierzem i oficerami polskimi po więzieniach bolszewickich, umożliwia im ucieczki, uruchomia jadłodajnie i kuchnie polowe, zaopatrzuje żołnierzy w ciepłą odzież, wyszukuje — pod grozą karni — pomieszczenia w domach polskich. Wszystko pokryjому. Członkinie Koła biegają po domach znajomych z workami na plecach, zbierając dla żołnierzy, co się da — nawet kromki chleba.

Na Ukrainie — w czasie pamiętnych dni kaniowskich — panie z Koła, przebrane za przekupki, cisnęły się do wagonów na stacjach, podsuwając jeńcom polskim zawiniątka z cywilnym ubraniem i dokumentami dla umożliwienia im ucieczki. Za-

pewniały zbiegom nocleg, dawały im pieniądze na drogę. Pod grozą śmierci w razie wykrycia, doko-
nywały cudów podstępów.

Gdy w listopadzie 1918 r. nastąpiło rozbroje-
nie Niemców, Koło Polek łącznie z Kołem Ziemia-
nek i Akademiczek w Warszawie tworzy Pogotowie
Wojenne, które obejmuje pod swój zarząd pozosta-
łe po Niemcach składy, gospody i t. p. Akademiczki
same roznoszą wojsku i milicji obywatelskiej gorącą
strawę na posterunki. Same podejmują wartość przy
rekwirowanych po Niemcach Soldaten i Damen-
heimach.

W tej zbiorowości, w tym czynie bezimien-
nym — na Kresach czy nad Wisłą — wybijały się
jednostki, kierujące akcją, porywające za sobą gru-
py mniej żarliwe.

Wynaleść je, wskazać ich nazwiska, oddać im
część należną — byłoby zasługą współczesnych.

Pracowały kobiety nasze dla Polski w okresie
wojennym poza granicami kraju, kwestując, wygła-
szając odczyty o Polsce, organizując pomoc dla
najbiedniejszych.

Wcale prawie nie jest u nas znane nazwisko
p. Lory Turczynowiczowej, która była jed-
ną z twórczyń Stow. Szarych Samarytanek, tak nie-
zmiernie zasłużonych w kraju naszym podczas
wojny i napisała po angielsku, bardzo popularną w
Ameryce, entuzjastyczną książkę o Polsce.

Z niebывałem poświęceniem oddawały się służ-
bie narodowej wybitne nasze uczone, powieściopi-
sarki, publicystki. Niektóre z pomiędzy nich otrzy-
mały odznaczenia. Nie wiem, czy krzyżyk zawisł na
piersi dr. Józefy Kodisowej, autorki wielu
prac w języku polskim, niemieckim i angielskim
z dziedziny teorii poznania, filozofii nauki, psycholo-
gii, przewodniczącej naszego towarzystwa psycholo-
gicznego, współpracowniczkii warszawskiego instytu-
tu filozoficznego. Dr. Kodisowa zorganizowała pierw-
szy uniwersytet ludowy polski w Chicago. Z po-
czątkiem wojny zaciąga się do kadr ratunkowych
jako siostra miłosierdzia. W 1919 r. osiada w War-
szawie, obejmując kierownictwo sekcji statystyczno-
naukowej w wydziale do spraw robotniczych st. m.
Warszawy. Nie wiem również, czy dostała odzna-
czenie p. Helena Ceysingerówna, referentka
oświatowa O. L. K., jedna z najwybitniejszych kie-
rowniczek tajnego nauczania w Polsce, niestrudzo-
na działaczka społeczna, zasłużona publicystka i po-
wieściopisarka.

Czy zostały udekorowane te orędowniczki spraw
Polski, które nie szcędzą czasu i pieniędzy, aby
na wszystkich kongresach bronić spraw państwa
własnego, odpierać wrogie ataki, odsłaniać źródła
oszczerstw i rzucać na kraj nasz światło prawdy?

Za senatorką J. Szembekówną, za posł. Ire-

ną Puzynianką, Holder-Eggerową, Ba-
licką stoją ich stronnictwa i szerokie organizacje,
które niewątpliwie upomniały się za niemi. Prawie
samorzutnie, jako delegatka nielicznych grup kobiet
poświęca czas swój i pracę zawodową na długie
nieraz podróże w celach narodowych i przema-
wia wszędzie, gdzie wymaga tego interes Polski,
radna st. m. Warszawy, dr. J. Budzińska-Ty-
licka. Społeczeństwo i rząd winny pamiętać o niej.

A działaczki śląskie, które tak wielkie zasłu-
gi położyły, broniąc tę dzielnicę od zniemiecze-
nia przez czas rządów pruskich, zaś w 1920 i 21 r.
tak wielką pomoc okazały w zdobyciu Górnego
Śląska? (ob. „Bluszcz“ Nr 13 z 1925 r.)

A obrońniczki Wilna?—A wielkie nasze kwes-
tarki z p. Demelówną na czele, której działal-
ność zobrazował „Bluszcz“ w Nr 34 z 1925 r.

Za krótkie są ramy luźnego artykułu, aby móc
w nich pomieścić nazwiska tych, które czekają na
uznanie państwa i społeczeństwa. Wspomnieć jesz-
cze tylko muszę o naszych uczonych, które z natu-
ry rzeczy nie podlegają sądowi szerokiego ogółu.

O ile wiem, krzyż Oficerski Odrodzenia Polski
otrzymała dotąd jedynie znana ekonomistka, zasłu-
żona autorka dzieł naukowych w polskim i obcych
językach, wybitna działaczka społeczna, dr. Zofja
Daszyńska-Golińska.

Jest prof. Instytutu Pedagogicznego w Warsza-
wie dr. Józefa Joteyko, autorka 200 przeszło
prac z dziedziny psychofizjologii, neurologji, pedologii,
zasłużona jako wielki łącznik między światem nau-
kowym Belgji, Francji a Polski. Jest prof. uniw. po-
znańskiego, dr. Michalina Stefanowska, pa-
rokrotna laureatka akademii naukowych zagranicz-
nych, związana z krajem od 1913 r., niezmiernie wy-
tężoną pracą pedagogiczną. Jest dr. Ludwika
Dobrzyńska-Rybicka, doc. uniw. pozn., dr.
Marja Grzegorzewska i inne.

Do grupy cichych działaczek, za którymi nie
stoi żadna organizacja, które szły zawsze tylko za
światłem swoich własnych wskazań, należy pionjer-
ka slöjdu u nas, wybitna, ale trzymająca się zawsze
na uboczu pracownica społeczna, p. Marja Du-
nin-Sulgustowska.

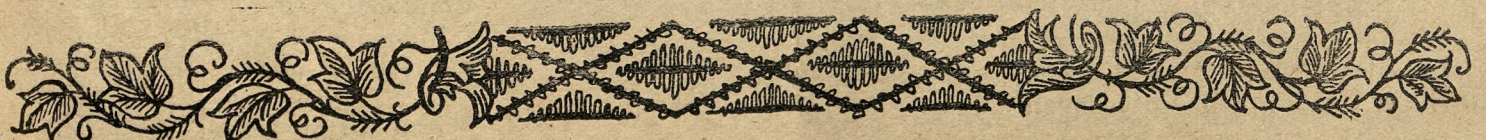
A wielkie artystki, tak zasłużone dla kraju, jak
Zofja Stankiewiczówna?

Cisną się nazwiska i postacie pod pióro.

Czy nie byłoby słusznem, by polski świat ko-
biocy wypowiedział się na temat tych zapomnia-
nych, tych przeoczonych, tych niedocenionych, które
tak bardzo zasłużyły na widomy przejaw uznania
dla siebie?

Czekają na to przedewszystkiem ci, co — zna-
jąc ich zasługi — pragną dla nich głosu czci
i uznania.

C. Walewska



W IMIĘ ZASAD ZDROWYCH I NIEZMIENNYCH



dy czytałam w 37 Nr. „Bluszczu” artykuł Dr. Świtalskiej, nasmunęły mi się pewne uwagi które chciałam się z Czytelnikami „Bluszczu” podzielić.

Artykuł Dr. Świtalskiej zatytułowany: „Coś niecoś o modnej sylwetce” traktuje sprawę uzyskania ładnej, wiotkiej, modnej linii, dzięki zabiegom czysto lekarskim, odpowiedniemu odżywianiu, trybowi życia i t. d.

O stronie lekarskiej artykułu nie piszę, chodzi mi jedynie o pewne kwestje natury fizjologicznej i moralno-etycznej, na które mam zapatrywanie wręcz odmienne od Dr. Świtalskiej.

Za środek zapobiegający „nadmiernemu tyciu”, środek „nadający sylwetce modną linię” uważa Dr. Ś. zadawalnianie instynktu płciowego, bujne życie erotyczne, walkę z pruderją, gdy chodzi o stosunki płciowe, zwalanie przeszkód, stojących temu na drodze, porady u wykwalifikowanych lekarzy w razie braku w tym kierunku rozpędu (nie wiem tylko, jaki lekarz podejmie się tak intymnego kształcenia) budzenie w sobie instynktu płciowego, gdyż jest on naturalnym i t. d. i t. d.

Pomijam kwestję, czy brak zadowolenia płciowego sprzyja tyciu? Mamy przecież przykład na kobietach niezamężnych t.zw. starych pannach, które właśnie płciowo nie żyją i mimo to nie tylko nie tyją, lecz są zazwyczaj szczupłe i mają sylwetkę, mogącą zadowolić najbardziej współczesne gusty.

Kobiety tyć zaczynają przeważnie po zamążpójściu, czyli właśnie wtedy, gdy zaczynają żyć erotycznie, a przedewszystkiem po urodzeniu dziecka, gdy kobieta w pełnym rozkwicie staje się przede wszystkim matką. — Zdaje się, że zachodzi tu pomieszanie dwóch pojęć; funkcji gruczołów płciowych (jajników) i kwestji zadowolenia instynktu płciowego.

Nie ulega wątpliwości, że funkcja tych gruczołów jest niezmiernie dla kobiety ważna, że warunkuje jej zdrowie fizyczne i stan psychiczny. Funkcje te przebiegają jednak niezależnie od nas, nie możemy na nie wpływać (poza ewentualnem leczeniem chorób kobiecych) ani ich normować.

Natomiast kwestja druga, kwestja instynktu i zadowoleń erotycznych

jest tą właśnie kwestją sporną między poglądami memi, a poglądami, wyrażonemi w omawianym artykule.

Chodzi mi obecnie o stronę moralno-etyczną pewnych wskazań, w nim zawartych. Poprobuję je skryształizować. Zastrzegam się z góry, że występuję nie w imię tej przesadnej moralności staroświeckiej, przykrytej wyrudziałą mantylką stetryczalej dewotki, lecz w imię zasad zdrowych, wiecznie żyjących, wiecznie nas kobiety obowiązujących, niezmiennych i dla nas świętych.

Zacytuję kilka zdań z omawianego artykułu dla łatwiejszej orjentacji. Cytuję te zdania, które dla moich pojęć są obce i które zadrasnąć według mnie mogą uczucia kobiety normalnej:

„Jednym z ważniejszych czynników nadmiernego tycia, pisze Dr. Świtalska, jest nienormalne życie płciowe. Każda kobieta potrzebuje stosunku seksualnego. Niedostateczność wyraża się w tem, gdy kobieta nie odczuwa zadowolenia. Powodem niezadowolenia jest nierówność temperamentów albo niedobór osobników. Wiele kobiet przyznaje się do braku zadowolenia z triumfem i t. d. i t. d.”

W odpowiedzi na omawiany artykuł wołam: „nie poprawiajmy natury!” Natura nie dba o kobietę i męczyznę jako o poszczególne jednostki, lecz jedynie chodzi jej o bezwzględne zachowanie gatunku, o rozpęd w stwarzaniu i rozradzaniu.

Każda cecha budowy człowieka, każdy rys instynktu jest mądrze przez nią obmyślany, by tworzyć, a nie burzyć! Mężczyznę obdarzyła ona silniejszym temperamentem i silniejszą potrzebą życia płciowego, gdyż w ten sposób zabezpiecza sobie rozradzanie się ludzkości. Kobieta z natury musi mieć rozpęd w tym kierunku i temperament erotyczny przytłumiony, gdyż w przeciwnym razie schodzi często na manowce, burzy ogniska rodzinne, unika macierzyństwa, względnie wydaje na świat niepotrzebne jej dzieci, które pozostawia na opiece boskiej.

Kobieta bowiem stworzona jest na matkę, a nie na kochankę. Wybujały zmysł erotyczny zabija w niej święty instynkt macierzyństwa i sprowadza z drogi obowiązku na śliskie tory wątpliwych przyjemności, nieokupionych choćby najbardziej „modną sylwetką” — Jeśli zadowolenie instynktu płciowego ma być dla kobiety radą, mającą na względzie jej zdrowie, to pragnęłabym wiedzieć, co ma uczynić szereg kobiet, którym warunki życiowe na to nie pozwalają?

Więc po pierwsze: 1) kobiety niezamężne! Czy nie mając męża, mają się oddawać, choćby z najbardziej wzniosłej i czystej miłości, mają narazić się na zawód życiowy, albo dać światu dziecko bez ojca, zwichnąć sobie życie i przysporzyć sierotę, wstydzącą się swego pochodzenia?

2) Druga kategoria to kobiety zamężne, które po zamążpójściu przekonały się, że erotyczne życie jest dla nich przykre i zbędne. Czy mają rzucić męża i po raz 2-gi, 3-ci lub 4-ty szukać „odpowiadającego im typu”? A dzieci?! Co będzie wówczas z dziećmi?

3) A kobiety, dla których życie erotyczne spowszedniało po kilku latach pożycia z danym mężczyzną, czy również szukać mają „przyjaciela” i rzbijać szczęście domowe, lub też zrywać więzy dla zadowolenia erotycznego, poświęcać męża i biedne maleństwa, mimo, że mąż może być człowiekiem bez skazy, może kochać szczerze, pracować całe życie dla rodziny i tylko erotycznie nie odpowiadać swej żonie!

Czyż nie jest obowiązkiem żony i matki nie roztrząsać kwestji instynktu płciowego, a przedewszystkiem nie rozwijać go sztucznie (dla t. zw. normalności płciowej). Czyż nie jest obowiązkiem kobiety stłumić wszelkie niewłaściwe porywy w tym kierunku, a za to mieć zadowolenie, płynące z poczucia spełnionego obowiązku i mieć to wielkie szczęście: móc zawsze jasno, prosto spojrzeć w oczy swego dziecka?

Tyczy się to naturalnie kobiet zdrowych, normalnych, pracujących i mających cel w życiu.

Inaczej postępować mogą tylko kobiety nerwowe, histeryczki, kobiety, żyjące bujną fantazją, karmiące się niewłaściwą lekturą, lub



kobiety pozbawione macierzyństwa (czyli nienormalne) lub rozpróznia-czone, wreszcie kobiety w okresie przekwitania, gdy czując gasnącą w sobie kobiecość, za wszelką cenę chcą uzyskać z życia maksimum wrażeń i emocyj, lubują się w roz-szrzącaniu erotycznych kwestyj i często, narażając się na śmie-szność, szukają „mocnych dresz-czów” i zanudzają lekarzy tajem-

nicami alkowy małżeńskiej, opo-wiadaniem o braku zrozumienia ze strony męża i t. d.

Nie neguję istnienia instynktu płciowego, nazwę go jednak w sto-sunku do kobiety instynktem macierzyństwa.

Niezadowolenie jego wpływa ujemnie na kobiety, wywołuje de-presję, niechęć do męża, melan-

cholję i niezadowolenie z życia. Właściwy instynkt erotyczny jest w życiu kobiety tylko środ-kiem, a nie powinien być nigdy celem.

Bądźmy w zgodzie z naturą i szukajmy równouprawnienia w pracy, w obowiązkach mężczyzny, jego samodzielności, energii, a nie dążmy do równouprawnienia płci, bo tej zmienić nie można!

Dr. J. M—ska.

SPORT, STYL, MODA I KOBIECOŚĆ

Artykułowi pana Konopackiego „O kształceniu kobiecości,” sądzono widać pociągnąć za sobą nie jedną tylko odpowiedź.

Autor w artykule swym porusza sprawę sportu, wspominając o świecie auto-aero-radjowym, i w jednej linii zestawia mody, dancingi i sporty.

Ale to jeszcze, zadrasnawszy serce sportsmenki, mogło pozostać pominięte, natomiast w odpowiedzi na wspomniany artykuł, p. Kuncewiczowa zanadto już dużo, zanadto silnie i drastycznie pisze o sporcie.

Zmusza mnie to do wystąpienia w obronie sportu, dlatego, że zestawienia p. Kuncewiczowej są tak barwne, a równocześnie ryzykowne, iż mogą w błąd wprowadzić osoby, nie wnikające głębiej. Może się im wydawać, że pani K. sport jako taki potępia.

A tylko my wszyscy, czynnie zajmujący się sportem, wprowadzający go w życie, a już szczególnie w świecie kobiecym, my tylko wiemy, jak ciężkie walki staczać trzeba z uprzedzeniami i przesadami, jakie żywi nasz ogół w tym kierunku. I dlatego nie mogę puścić płazem tych powiedzeń, rzucających ujemne światło na kobiety, oddające się sportowi.

Pani Kuncewiczowa z wielką słuszością, ogromnie dobitnie maluje świat powojenny.

Zmęczenie, chęć zapomnienia, narkotyki, szukanie czarnej magii, jazz-bandu i temu podobnych idjo-tyzmów, oto cechy charakterystyczne świata powojennego według p. Kuncewiczowej. Zgoda najzupeł-niejsza, nic słusniejszego.

Ale dlaczego autorka twierdzi, że w dobie takiej zepsuta kobieta ma się trzymać zdala od sportu?

Dlaczego mężczyzna, kradnąc i tropiąc wśród niechlujstwa mo-ralnego sensację, kopie piłkę.

Dlaczego u kobiet z aberacji, bezwładu, chuci i porywów ma wynikać moda sportowa?

Zachodzi tu zdaje mi się pewna pomyłka.

Potrafiło wiele pań, jak świat szeroki, obnosić podczas wojny bar-dzo pretensjonalnie czepeczki i far-tuszki sióstr miłosierdzia, szukać wrażeń i przygód wśród huk armat i jęku rannych, może wiele pań robić sobie styl i modę z pracy społecznej, z filantropji. można kokietać żalobą, dlaczegóżby po-wojenna kobieta nie potrafiła kokietać sportem?

Ale czy to вина sportu?

Sport był, jest i będzie dla ludz-kości niezbędną, niezastąpioną po-trzebą ruchu, żądzą niebezpieczeń-stwa, ryzyka, zmierzania i wzmoże-nia swoich sił.

Jest tem dla dorosłego, czem dla niemowlęcia pełzanie, uporczywe dźwiganie się na nóżki, podnosze-nie głowy, czem dla małego kocia-ka czajenie się, skoki, zabawa z nie-istniejącą myszą.

Nauka, zabawa, walka i zapra-wianie się do niej równocześnie.

Sport jest rozrywką ludzi młodych, zdrowych, silnych. Jednostki i spo-łeczeństwa zmęczone, przedenerwo-wane, zdegenerowane nie pragną sportu.

Podczas wojny światowej sport zgasł, ucichło o nim, nie miała ludzkość sił, nie miała czasu i ochoty na sport, bo to, co było zdrowe, szlachetne i pełne życia było w sze-regach, było zbyt wojną pochłonię-te.

Na tyłach, w kraju były setki tysięcy pasożytujących na wojnie paskarzy, karjerowiczów, robiących „interesy” i politykę, zajmujących korzystne posady tych, którzy wal-czyli lub dla armji pracowali, było i kobiet dużo, dużo, które siedziały bezpiecznie, bezczynnie, wygodnie i dostatnio; ale cała ta tyłowa

armja, ciągnąca z wojny korzyści, do sportu się nie brała, dla ta-kich ludzi sport był rozrywką zbyt męczącą, zbyt niebezpieczną, żalo-wali trudu i wysiłków, bo to pro-centów nie przynosiło.

Czytaliśmy natomiast, że żoł-nierze amerykańscy, ci tak dosko-nale umundurowani i żywieni, ci, o których rząd i społeczeństwo tak bardzo dbało w czasie wojny, siedząc w okopach, niepewni dnia i godziny grali sobie dla pokrzepie-nia i rozrywki w football, lub od-bywali treningi lekko atletyczne; a nasi niezrównani, nie tracący ni-gdy fantazji legjoniści, siedząc w Szczypiornie, zabawiali się piłką, i wymyślili sobie grę, znaną dziś ogólnie pod nazwą „szczypiorniaka.”

— Silny pęd do sportu w Polsce, silniejszy znacznie niż przed wojną nie jest tylko modą, a już tem bar-dziej jedną z ujemnych cech powo-jenności wynikającej z chęci użycia, gorączki w szukaniu egzotyczności.

Nikt chyba nie neguje, że prócz ujemnych skutków wojna dała sze-reg bardzo dodatnich wartości.

W naszym wywołonym kraju błogosławionym wynikiem wojny jest ten silny rozpęd w kierunku pracy oświatowej, stwarzanie własnego przemysłu, zapał, z jakim tworzymy naszą armję i wreszcie ten pęd ku odrodzeniu fizycznemu, a więc i moralnemu całego narodu, ku zapewnieniu szczególnie mło-demu pokoleniu jak najlepszych warunków rozwoju właśnie przez sport i gimnastykę.

Sport jest reakcją na przemęcze-nie po wojnie, jest formą walki narodu z cechami podstawowymi powojennej atmosfery, z szerzącą się amoralnością, zblazowaniem, histerją zmysłów, słowem z tem wszystkim, co tak doskonale scha-rakteryzowała p. Kuncewiczowa.

Jeśli chodzi dosłownie o modę sportową, o styl sportowy, o kobie-

cość pań, oddających się sportowi, to doprawdy bardziej zbliżona do dawniejszego typu „kobiecego“ i wewnątrz i zewnątrz jest młoda dziewczyna, sportsmenka, zdrowa, silna, dobrze zbudowana, rumiana, o swobodnym i naturalnym sposobie bycia i ubierania się, niż modna, na wzór paryski wystrojona pani, mająca, jak słusznie mówi p. Kono-packi, nie tylko trochę, ale bardzo dużo z typu łobuza i kokoty.

Sport wymaga siły, zdrowia, silnych nerwów, a co za tem idzie czystości moralnej i fizycznej Sportsmenka, choćby nią była tylko dla mody, nie może narkotyzować się, dancingować i t. p., musi dążyć do typu człowieka zdrowego i silnego. Inaczej nic z jej wyczynów!

„Kobiecość“ na tem dążeniu do zdrowia i siły chyba tylko zyskuje.

Zresztą kto wie, czy wyzwolenie się z pęt mody, nie nastąpi właśnie dzięki sportowi.

Kobieta, która raz przywykła do swobody ruchów w szerokiej, krótkiej spódnicy, a tem bardziej w spodniach turystycznych, czy gimnastycznym kostjumie, nie da się tak łatwo spętać w spódniczkę o 90-cio centymetrowym obwodzie, kobieta, która nauczyła się nosić wygodny, nie bojący się deszczu kapelusz, z obawą weźmie do ręki różne „kreacje“ magazynowe z tiulu, koronek, gazy i sztucznych kwiatów, za które płaci się sumy, a których piękność jest tak krótkotrwała.

W Warszawie większość kobiet pracujących ze sfery inteligentnej czy półinteligentnej ubiera się tak, jakby miały conajmniej własne po-

wozy i auto, a w każdym razie panny służące.

Gdy się wie, ile czasu i pieniędzy kosztują te wszystkie wykwintne ozdoby, te leciutkie i jasne tkaniny, te hafty, pióra i wstążeczki, to wprost trudno oprzeć się zdumieniu: skąd ten czas i skąd te pieniądze się biorą?

Czy nie lepiej byłoby się prze-rzucić w modzie na styl bardziej sportowy, na ubrania grubsze i mocniejsze, które przecież wcale nie wykluczają estetyki ani „kobiecości“, a w całym sposobie życia powrócić do większej prostoty, naturalności, odrzucić to jakieś dziwne zmanierowanie „fetyszów z ple-mienia Sjuksów“.

A droga prowadzi do tego tylko przez sport, tak! przez styl i przez modę sportową.

I. F.

MARJA GROSSEK-KORYCKA

F E L J E T O N

ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

17

NOTATKI PSYCHOLOGICZNE

Samoniewystarczalność altrocentryzmu, nie zadawalniająca się swoim światem, szuka jego dopełnień w cudzych losach.

Ciekawość czyha na moment, kiedy maska spada z twarzy i z jej skurczowych linii można wyczytać hieroglif duszy, albo zwyczajne wścibstwo podpatruje gesta i podsłuchuje bicie pulsów. Jestto rezultat usposobienia, które nie może żyć tylko z sobą.

Są one może jeszcze w większym stopniu przyzwyczajeniami psychologa: trzeba mieć dar odczytywania hieroglifów na wzruszonej twarzy i posiadać rzadką umiejętność rozumienia drugiego człowieka, aby uczynić sobie teatr z otaczającego nas życia.

Są istoty niezmiernie dobroci, interesujące się losami ludzkiemi, przez dobrą wolę. Niestety, są one niezmiernie rzadkie! Zazwyczaj człowiek wchodzi do cudzego życia po to, aby mu zrobić krzywdę. Wścibstwo i ciekawość pociągają za sobą plotkarstwo i intrygantwo, o które powszechnie oskarżane są stare kobiety. Pociaszmy się, wkrótce te typy będą należeć do przeżytków. Wyższa kultura duchowa, wysokie wykształcenie w inny sposób zaspakają samoniewystarczalność kobiety. Przed rozlewną jej duszą, nie umiejącą zamknąć się w granicach swego ja, otworzyło się już szerokie pole

zrzeszonego życia! Kobieta skwapliwie staje się społecznicą, działaczką, towarzyszką. Intrygantki i plotkarki znikają z całym światem kumoszek... których zło było, bądź co bądź, wynikiem zbyt słabo rozwiniętego egotyzmu, obok zbyt prymitywnej umysłowości.

Wielka wrażliwość niewieścia, która nie jest pobudliwością nerwów chorych, lecz odzewnnością bardzo czujną nerwów tak precyzyjnych, jak nerwy artystów, ciągnie za sobą wiele z bardzo charakterystycznych właściwości kobiecego usposobienia.

Wypływa z niej nasza ruchliwość żywego srebra: cielesna i duchowa, temperament, potrzebujący ciągłych zmian i nowinek, co raz innych osiedleń i ludzi, dopływu co raz świeżych wrażeń! Jest ona bystrą, szumiącą wodą, którą pod swoje koła bierze młyn serca i utylizuje ją na korzyść miłości. Z tej żywiołowej hucznej ruchliwości miłość robi siłę praktyczną: niezmordowaną czynność, niestrudzoną pracowitość kobiety rodzinnej. Matka rodziny pracuje dla swoich tyle, co murzyn na plantacjach. Jej dzień roboczy liczy dwadzieścia cztery godzin, pociętych interwałami kwadransowych odpo-

czynków. To jest zupełnie nie do wiary, co matka rodziny w sferach niezamożnych w ciągu dnia zrobić potrafi—a i noc nie należy do niej wyłącznie—śpiąc, nogą kołysze niemowlę i wstaje co chwila, aby je pokarmić i przewinąć. A matka rodziny w sferach zamożnych?—ta, która ma tyle wyręczy-cielek: mamki, niańki i bony? Ona tyle robi, co żołnierz na warcie... który nic nie wykonywa ani rękami, ani umysłem—a jednak muszą go zmieniać bardzo często, gdyż pewnie nie wytrzymałby dłużej! Matka rodziny w sferze bogatej jest na warcie co dzień po dwadzieścia cztery godzin dziennie—jeśli chce bardzo dobrze spełnić powinność.

Nie masz dla człowieka cięższego obowiązku jak nie mieć wprawdzie pracy, ale i nie mieć godzinny wolnej: bo dusza potrzebuje żyć...

Domowa służba ma dziś jedno z lepszych uposażeń wśród ludzi, pracujących mechanicznie—panie dzisiejsze są niesłychanie dobre i względne i jeśli kto bywa dziś stroną pokrzywdzoną, znoszącą niehumory i wybryki, to są one, panie dzisiejsze, nie sługi. Dłaczegóż więc służące uciekają z tego stanowiska, jak tylko mogą, przekładając nad dobrobyt i lekkie obowiązki służącej, daleko cięższe warunki życia robotnicy fabrycznej?

Bo czemuż jest służąca? Zastępczynią kobiety rodzinnej — bierze na siebie te obowiązki, jakie powinna pełnić matka rodziny — a to jest dwadzieścia cztery godzin na dobę.

Oto dlaczego woli pójść okopywać buraki.

Matka rodziny pracuje, jak niewolnik assyryjski — ale przeniesmy ją tylko na grunt obcy, uczynmy gospodynią w cudzym domu za pieniądze, a pracowitość jej

spadnie do zera: stricte necessary. Nie jestto bowiem wrodzona czynność, jak utrzymuje Gina Lombroso, ale ruchliwość, w której tamto tkwi potencjalnie.

Ruchliwość kobieca zwyrodnia się, niewyzyskana przez życie rodzinne, nie ujęta w karby przez miłość, która z niej robi sobie niestrudzony motor.

Ruchliwy temperament przeistacza się wtenczas w siłę złą, wynaturza się: w bezsensowną

szwendaninę, w bieganie po kominach, w szalone tracenie pieniędzy, w pogoń za czemś nieokreślonym...

Kobieta nie lubi stagnacji. Udział jej w życiu społecznym zaznacza się bardzo prędko żywszem jego tempem. Udział kobiety będzie niewątpliwie dobroczynny, jako przeciwwaga męskiej flegmy jego kunktatorstwa. Żywość kobieca będzie antydotum na rutynizm, na zbytą konserwatywność i tradycyjność męzczyzny. Kobieta jest z temperamentu postępowcem.

(c. d. n.)

N. SAMOTYHOWA

KROŚCIENKO

Wśród rześatego deszczu zobaczyłam Krościenko. Wpadliśmy eleganckim autem przed gospodę o staroświeckiej bramie wjazdowej.

Niesieni z zawrotną szybkością od Nowego Targu, minęliśmy kilka wiosek, Dębno, Harklowę i stanęliśmy w Czorszynie, którego ruiny widać z werendy zajazdu. Po nieproporcjonalnie długim postoju pomknęliśmy doleń mimo góry Wzaru i dróg, wiodących do Krośnicy, Grywałdu, Tyłki.

Tatry przesłaniały opony chmur i deszczu.

Z całej jazdy pozostało wspomnienie szybkości i mijania: niewyraźne zarysy wzgórz, Dunajec szeroko rozlany, pola, ledwo muśnięte okiem wsie, zbite masy lasów, uderzenia gałęzi w dach auta, lekkie chwianie się wygodnych foteli, zlatywanie własnym ciężarem z gór, szybkie z rozpędu wpadanie na nową górę, ostrzegawcze sygnały, wesoły głos kierowcy, niemal inteligenta — szereg migawkowych wrażeń, ledwo zaznanych — i już „byłych“ — rodzaj gwałtownego snu — skondensowany obraz ku amerykanizmowi, pośpiechowi i mechanizacji skłaniającego się życia współczesnego.

Życia, w którym zatracą się szeroki dech, orientację i wszelkie wrastanie, wzywianie się w otaczający świat; w którym wszystko jest chwilą; które wymaga niesłychanie szybko działającego aparatu odbiorczego nerwów.

Ta ostatnia godzina podróży była grzmącym finałem poprzedzającego wyjazdu, absurdalnego życia warszawskiego.

Z chwilą wylądowania przed wspomnianą gospodą opadła nas dziwna cisza. Znaleźliśmy się w nie-

bieskości zalanej deszczem wsi, w spokoju i przytulności małych, gontami krytych domków ulicy Jagiellońskiej, w samotności, dalekiej jednak od obojętnego opuszczenia. Wszystko wydało się tu proste i swojskie. Od razu stało się wiadomem, że tu będzie dobrze.

Zaczęła się „symfonia wsi“. Zwolniło tempo życia. Głos zabrała natura i miejscowi ludzie.

I.

KRAJOBRAZ.

Zdawało się, że wszelkie myślenie ustało, wsiąknęło i rozproszyło się w otaczającym świecie. Dnie stały się doznawaniem, patrzeniem, wchłanianiem zapachów, słuchaniem. Zatraciły się kontury czasu. Oczy otwierały się szeroko, by widzieć, widzieć jak najwięcej i zabrać w siebie barwy i kształty; skóra postanowiła zapamiętać dotyk wiatru, wody, traw i ziemi; rozpalone słońce dwunastej godziny, pola zbożowe, igliwie i mchy po lasach miały zapach, który należało na długo utrwalić w sobie, podobnie jak i aromat siana, i gorzką woń dymu siedzib ludzkich. A ponadtem i wśród tego wszystkiego — dźwięki, głosy, szmery, ćwierkania, szelesty, śpiew!

Wytworzyła się dziwna bliskość i zażyłość ze światem traw, kamieni i wód. Poziwnik pstry, kąkol, storczysek i inne, liczne bardzo gatunki botaniczne, o tak rozmaitej fizjonomji, poznane całkowitem, zmysłowem ogarnięciem, stawały się bodaj na chwilę, na jedną cudowną, ludzkim językiem nie dającą się nazwać, ani opowiedzieć chwilę, mną samą, a ja w sobie czułam to całkowite istnienie, to

zjawisko radosne kwiatu: poszarpanej firletki, amarantowego ostu, tojadu, czy podobnego do kropli starego złota, jaskru.

Pełno tam było „dziwów“ i nieoczekiwanych objawień.

Wśród pewnego pola, już zętego, przy biegnącej obok ścieżce, leży malutkie, jak duża miednica jezioro, o dziwnie żywej, od dołu ruszającej się, wodzie. Zasila je podziemne źródło, bijące drobnymi fontannami, tworzącymi leje na piaszczystem dnie. Ta cicha i gładka na powierzchni woda, o nieprzerwanie gotującej się głębi, miała doskonały smak i zimno lodu. Żyły w niej zielone kulki glonów.

Lecz woda jest tu wszędzie: zaskórna na wilgotnych łąkach, chlująca z pod stóp na tych „młakach“ biegnąca cicho i pokornie, z szepem prawie modlitewnym pod kamykami na drogach i ścieżkach, spadających z gór. Strumyki te gwarzą jowialnie i żartobliwie, a niekiedy metalicznie dzwonią; powierzchnia ich ruchliwa i płynna marszczy się kształtem roześmianych policzków i ust. Są dobrymi doradcami i sprzymierzeńcami zmęczonego żmudnem wchodzeniem w górę człowieka.

Gdzie stromość większa i strumień stał się strugą, zasiloną przez dopływy, spada gwałtowny bicz srebrzystej wody.

Trzy potoki wyźłobiły trzy wielkie wąwozy w okolicach Krościenka. Potoki te w lipcu zmalowały do wijących się wśród głazów smug — lecz już po jednodniowym deszczu wlewały się groźną, brunatną, mętą kaskadą w Dunajec.

Gdy nastaną długotrwałe słoty, potoki przeistaczają się tu w nieo-

kielznane żywioły, wobec których góral staje bezradny.

Tak było w bieżącym roku. Czerwone deszcze przepełniły koryta rzek i uczyniły z nich potężne olbrzymy, wyrwijące drzewa, przenoszące skały, zmiatające na nice tworzywo rąk ludzkich.

W lipcu Dunajec opadł. Szerokie jego pod Krościenkiem łożysko ukazało obramowanie z białych, dobrze wygładzonych kamieniami, Kapryśna krzywa biegu rzeki widać się piękną esownicą srebrno-błękitną. Z drewnianego mostu rozwarła dal nieba i wody tworzyła wielki elipsoid, spięty obręczą zieloną lasów i łąk na wzgórzach i górach. Obszerna dolina Krościenka nie hamuje tchu, nie zmusza patrzeć blisko. Powietrze przelewa się nad nią falą coraz to nową, świeżą i pachnącą.

Słońce. Przepalające jego promienie na zboczach. Poczucie swobody i uskrzydlenia—chęć wwiercenia się, wspięcia w każdy wąwóz, na każdą górkę.

Tu, tam, wygodną ścieżką między polami nad usianem kwiatami zboczem iść i przepaść wkrótce gdzieś za ścianami wzgórz. Znaleść się w okolicy prawie bezludnej, odwiedanej tylko przez pokrzykujących pastuchów, których śpiewacze zawodzenie powtarzają echa. Głuptak wolasty, dźwigający chrust, zatrzymuje się i bełkoce niezrozumiale; pasterze z drugiego wirchu wołają:

„Panie, panie, czy nie chcecie poziomek?”

Dzwonki na szyjach czerwonych krów dzwonią.

Za jakimś skrzętem—niespodzianie osiedle, w tej godzinie puste. W pobliżu tylko dwoje dzieci pasie krowy i patrzy na nas ciekawie.

Gdzieindziej porządna zagroda, samotnie wśród wirchów rzucona, i na podwórzu jej śliczne, dumne ze swych ogonów pawie.

Możnaby tak wędrować wirchami aż w Beskidy.

Można też zejść ku wąwózom, w których czerwienią się odkrywki andezytu.

Cały wielki pas wzgórz po prawym brzegu Dunajca kryje pod odzieżą zieleni skały, będące zastygłą lawą. Przed tysiącami lat działały tu siły wulkaniczne, a i dziś jeszcze niekiedy ziemia Krościenka lekko drży.

Góra Wżar przy szosie, pomiędzy Czorsztynem, a Krośnicą jest starym, wygasłym wulkanem.

Andezyty zdrowe, t. j. niezwiertzałe są rzadkością, żmudnie poszukiwaną przez geologów. W przelomie mają wyraźnie zieloną lawę,

wśród której rozsiane są czarne kryształy amfiolbu i augitu.

Te ślady niepokojów ziemi dodają podpienińskim okolicom uroku. Z pośród wulkanicznych pokładów w jednym z wąwózów wytryska woda o leczniczych właściwościach Szczawnickiego źródła Stefana.

Na lewym brzegu Dunajca—Krościenko i stamtąd droga w Pieniny. Stromą ścieżką pomiędzy polami i dalej szeroką, kamienistą drogą na najwyższy z tutejszych szczytów: słynne Trzy Korony. Idzie się obok ciemnych, świerkowych borów, przez pofalowane, śliczne, puszyste łąki, przez smutną dolinkę, w której płynie strumień najlepszej wody, przez poręby i laski i znów przez jasne, świetlane łączki o niezwykłych roślinach, mija się drogę do Sromowiec i, wciąż pod górę wspinając się cierpliwie, osiąga się Korony pierwszej, białej wapiennej skały; po krótkim wypoczynku przy drugiej, dosięga się przy pomocy schodów i poręczy szczytu trzeciej. Ten szczyt o powierzchni 2 m. kw. jest cyplem wapiennym, wspartym o trzy strome ściany. Biada mającym zawroty głowy i słabe serce. Na szczęście od niedawna urządzono tu rodzaj glorjетки z poręczami.

Widziany stamtąd zielony Dunajec zdaje się stać w jakiejś ciemnej głębinie. U stóp góry leżą Sromowce Niżnie. Daleko—brzydka szachownica pól, wyglądająca jak plan i pofalowanie okolicy, podobne do plastycznej mapy. Nad tem, niebo gorące, ciemno-lazurowe. Daleko—Tatry, Babia góra, ba, nawet zarysy Nowego Targu.

Na powrotnej drodze spotykamy harcerzy, którzy tu będą nocowali.

W ciągu jednego dnia przy do- brych nogach możnaby poznać jeszcze Czertezik i Sokolicę, stożkiem ostrym sterczącą nad Dunajcem.

Skała ta jest najtrudniejsza do pokonania. Wchodzi się na nią „niemal”, jak na Zawrat.

Pełno w Pieninach krzaków róż dzikich, których delikatne, jasne kwiaty w lipcu już opadają.

Z Trzech Koron wracamy o ciemnym zmierzchu. Gospodyni zaniepokojona:

„A kaście tak długo bawili, panowie. Już ta byłam o was niespokojna, na prawdę. A ino!” mówi śpiewnie.

Wchodzimy do izby, która jest naszym mieszkaniem.

Duża, źle otynkowana izba; dwa łóżka twarde jak stoły; cztery

chwiejące się krzesła, szafa, ozdobiona jedenastu żółtymi tykwami, komoda o zacinających się szufladach, dwa stoliki; kilkanaście obrazów świętych, szeregiem zawieszonych na ścianie wprost wejścia—wśród nich oleodruk według Rafaelowskiej Madonny della Sedia; na obrazach kwiaty papierowe, bardzo różowe; na stołach dzbany z wełnianką, mieczykami i innymi darami łąk; wielki piec zawsze ciepły, gdyż jest piecem przyległej do izby kuchni. Żyjemy tu z gospodynią obok, korzystamy z jej chętnych usług i życzliwego gwarzenia. Niedaleko, tuż, przez sień podwórko, niezbyt schludne, z przepisową gnojówką i deszczówką. Obora, stajnia. Kury. Owce. Dwie krowy i koń.

O drugiej w nocy budziłby nas nieodmiennie kogut, upierający się witać ledwie zapowiadający się brzask, lecz go Józek co wieczór wynosi i wpycha do jakiegoś schowanka. O 5-ej rano krowy idą na pastwisko. Wygania je 14 letni sierota Staszek, ładny, lecz już zeszepecony zaczątkiem wola. Staszek jest „pastuszem”, albo „pasterzem”, jak tu mówią z biblijna.

Krowy i koń lubią chleb. Patrzą wymownie, gdy stajemy we drzwiach obory. Koń z cicha, porozumiewawczo, rzy.

Syn gospodyni, 23 letni Józek, o bardzo młodym wyglądzie i mleczno malinowej cerze przerzuca się szerokimi krokami po podwórzu; jest nieśmiały i jakby zawsze zawstydzony, nigdy nie wszczyna sam rozmowy, zapytany, odpowiada krótko i niechętnie.

„Te młode to som takie dziwne harde i dumne”, mówi jego matka.

Bogaty gospodarz—jest partją; „rają” mu niejedną; ale on nie chce się żenić jeszcze; „żadno mu się nie udała”, chce, żeby była „postawno”.

Matka Józka — ma pięćdziesiąt trzy lata, w twarzy pomarszczonej i pofalowanej, o bardzo nieregularnych rysach żyją rozumne, młode, niebieskie oczy; w warkoczku spuszczonym ani jednego siwego włosa. Jest niewysoka, szczupła, ruchliwa i pracowita. Lubi rozmawiać i mówi ładnie, plastycznie, bogato modulując dźwięki. Ujmuje każdą sprawę inteligentnie i konkretnie.

Przed kilku laty umarł jej mąż. potem córka. Oboje, zdaje się, na gruźlicę. O córce opowiada, że była ładna i bardzo zdrowa. Skończyła szkołę, szyla, haftowała. Lecz odwracała się od życia świeckiego. Chciała iść do klasztoru. „No, i posła, moi państwo, do klasztoru, tak jak ij sie widziało”. (c. d. n.)

MARJA DĄBROWSKA

NAJDALSZA DROGA

2



o tam mieszkanie. Deszcz, który szumi za oknem, też mało-wiele znaczy. Ważna rzecz, że są tu koło siebie, dyszą pospołu, zasypiając, a jutro się obudzą,

może będzie ładnie.

Było ładnie, lecz pogoda nie trwała długo. W maju zaczęły się deszcze i już nie ustawały. Całe lato było bardzo mokre. Wszystko się świeciło jak blachą poobijane, trawy gniły, a zboża porastały. Ludzie, wiecznie płachtami pookrywani, wyglądali ponuro jaśniejszego dnia. Deszcze przyczyniły się mocno do tego, że budowa murowanki nie postępowała przez lato. Położyli fundamenty i dalej nikt się jakoś nie chciał przy tym paprać. Może były i inne przyczyny, lecz ta im była snadnie na rękę.

Mimo to, Kaczmarkowie za nic by teraz stąd nie chcieli odejść. Jak tylko był kiedy wolny czas i niebo się przetarło, chodzili całą rodziną na budowę i oglądali miejsce, gdzie miały być ich okna, ich sufit, ich drzwi i oprócz tego komora. Ta rzecz do niczego niepodobna, rozkopane miejsce, pełne żółtej gliny i pousfawianych stosami cegieł, zdawało się być tem, czego szukali po świetle.

Na tej też budowie znaleźli raz szczeniaka, który za nimi przyszedł do chałupy i już pozostał. Mimo, że tu ludzie znali każdą kurę, czyja była, nie dało się wysledzić do kogo piesek należał. — Musiał zginąć komu po drodze — może jak szedł tędy do Pokucic. Kaczmarkowie poczytali to sobie za dobry znak, za początek dobrobytu.

W istocie zaczęło im się tu dźiać nieostatnio. Różne pociechy przychodziły, nie z tego miejsca, skąd wszystkiego się spodziewali — a z innych, wcale nieprzewidzianych — murowanka nic do tego nie miała. Zboże tu w tych stronach było droższe, niż tam, skąd przybywali. Sprzedali więc resztę starej ordynarji, nowej też usprzedałi trochę, i mało co sobie odejmując od gęby, pospłacali długi, obsprawili się nieco, bo gdy nastali, obdarci byli jak dziady. Przed Bożem Narodzeniem już mieli prosiaka, danego ze dworu na spłaty, i zbierali sobie na krowę. Odetchnęli też, bo zdrowie zaczęło jakby powracać do ich domu. Zuzia, mimo że chodziła na spichrz i do stodoły, obrumieniła się cokolwiek

na bladym licu, mocniała w sobie — i nawet nieco poweselała. — Jakie były te siły, co ją podparły, tego nie wiedzieli. Trwożyło ich, że ją na wiecór febra trzęsła, i poty na nią były — lecz może tak właśnie choroba przez nią wychodziła.

Matce także tu służyło. Raz nie mogli z Julką przypomnieć dnia, kiedy na nią ostatni raz wielka choroba przyszła. Naliczyli, że miało to wogóle miejsce nie więcej jak trzy razy. Na święta zrobiły się rzeczy, które jeszcze bardziej utwierdziły ich w dobrej myśli.

Dnia jednego przyszedł do wsi Józef Michalszczak, przewiskiem Szatan — taki świszczypała, którego tu ludzie źle pamiętali. Przesstraszeni jego powrotem czekali, że komu ogień podłoży, albo czyj łeb rozrąbie. Tymczasem ów dał na zapowiedź z niańką ze dworu, mającą już dobrze pod trzydzieści lat, ale bardzo piękną wdową Elżbietą — i zaraz po weselu miał z nią do Ameryki jechać. Te podziwienia godne rzeczy, o których Kaczmarek nasłuchiwał się przy robocie, albo u Chojnackiego — nie myśląc, aby co dla niego ważyły — wtargnęły niespodzianie do jego domu.

Nasamprzód ów Michalszczak dowiedział się, że Kaczmarkowie żywili chęć wyjechania do Ameryki. Tak było istotnie, zanim się tu zgodzili. Jeszcze też na początku służby Kaczmarek odzywał się z tem do ludzi — stąd wiedzieli.

Młodzieniec przewiskiem Szatan, czy bał się tak we dwoje puszczać na morze — czy mu się Kaczmarkowie osobliwie podobali — niewiadomo — ale żarliwie ich namawiał.

Trudno powiedzieć, aby bliskość tak wielkiej odmiany nie posiadała zamętu w ich sercach, owszem, posiadała. Na początku zdjęło ich

przeżalenie — że nagle spełnić się może to, czego rzeczywiście upragnęli przez niejedne lata — potem rozpaczali, że ono przychodzi nie w porę. Gdyby wtedy, kiedy stali nad grobem swych trojga dzieci, doprowadzeni do nędzy i ostatecznej utraty! — Lecz teraz rzeczy obróciły się inaczej. Szło na lepsze i sprawa ciężkiego wymagała namysłu. Chybaby z rozumu byli obrani, żeby lekko porzucać mieli tu tejsze widome korzyści dla nieznanego losu.

Mieli już do stracenia rzeczy, o które by się bali.

Gdy Szatan usłyszał, że jedną z tych rzeczy była niezbudowana murowanka — śmiał się. Gdy mu wyluszczałi inne dobra — umiał im przedstawić — że bez nich by właśnie jechać nie mogli, bo by ani się za co wybrać nie mieli.

Mało więc było przyczyn, które by się tej myśli słusznie przeciwili — zaczęli sobie tedy dawać czas do namysłu i mocno się bili z myślami. — Trzeba było postanowić na tę lub na tę stronę, a oni wciąż nie wiedzieli, kiedy w tem Julka wszystko im przeważała.

W samą wilję Nowego Roku przysłano ze dworu, że niańki do dzieci przez faktorów żadnej nie znaleźli, czyby więc Kaczmarkowie swojej młodszej dziewczyny do dworu dać nie chcieli.

Julce oczy się zaświeciły. Ameryka wydała jej się rzeczą błahą i nieuchwytną, ta zaś odmiana rzeczywista i ważną.

W strachu, że rodzice nie tak będą uważać — wyraziła swe chęci, mówiąc:

— To jo się już zgodze do tych dzieci.

Rodzice uznali, że to jest nadto widome wskazanie losu i o Ameryce więcej mowy nie było.

Teraz był zaczął im się tem bardziej szparko poprawiać. — Jeżeli wprawie myśleli, że nic im do wytrwania nie trzeba, tylko by razem byli i zdrowie mieli, gdy im potem czekanie na murowankę miało za wszystko wystarczyć — teraz widzieli, że dobrze jeszcze mieć to i owo w dodatku.

Julka — z dworskimi dziećmi się polubiła — na matkę dawała baczenie — ile razy się dało, to wpadała do domu — miała za sługi — życie, mieszkanie, taka się zrobiła uważająca, jak panienka, potłuściła nawet, a im nie ubywało od tego. Przeciwnie Julczyne zasługi



odkładali do kasy — nie śmiejąc jeszcze powiedzieć, na co to będzie, gdyż słowa tego ziemia wymówić strach przed czasem.

Zaś było jeszcze mocno przed czasem. Kaczmarek obliczał wciąż, jak nieskończone lata musieliby pracować, by gruntu sobie kupić.

Błądząc myślami po nieznanym okolicach, ukrytych za horyzontem, pytał siebie, gdzieby mogła być taka ziemia, coby nie za droga była dla biednych ludzi. Lecz wszędzie natrafiał na jedno, tam gdzie się kończy pańska, tam się zaczyna chłopska. Od kogo jej weźmiesz za te pieniądze, które można, choćby i z dwoma posyłkami zarobić — za te grosze, co je trzeba niekrótka na krowę zbrać?

Ziemia ta bliższeńko, pod stopą tobie leży i twoje poty spija, zaś droga do niej najdalsza — inaczej nie dojdiesz, tylko rzeczywiście przez morza, przez tułaczki rozmaite po świecie. Tam tylko są pieniądze, których na ziemię tę potrzeba — tu ich niema.

Dobrnawszy myślą do tego miejsca, Kaczmarek smucił się po cichu, że jednak nie pojechał do Ameryki. Lecz potem przychodziły dni większej mocy i tych było coraz to więcej — zwłaszcza, że mu i dalej po myśli ciągle szło.

Oto połowy, co już tu długie lata służył, podziękował od kwietnia. Po takim nie można było wziąć kogo z brzegu i pan kazał Kaczmarkowi narazie być za polowego — zanim na stałe się kto znajdzie. Przybiecał za to dodać co z ordynarij.

Komu o cudze na ręce patrzyć, chociażby tylko póki co, nie jest miłą robotą. Lecz korzec pszenicy, jest korcem pszenicy, kto się o grosz napocić musi, temu taką rzeczą wzgardzić nie sposób. A po drugie Rusocin było to miejsce, gdzie mu się poszczęściło bardziej niżli gdzie indziej — więc mógł tu dla tej ziemi dużo ze siebie dać. Żeby też nie wiem jaka prawda była, że grzech patrzeć na cudze, jak na swoje, to jeśli kto jak on — nie pójdzie do Prus — ani do Ameryki, tylko tu na tem robi, to na jaką ziemię ma patrzeć, jak nie na tę, którą przyprawia i której teraz też strzeże. Czy z chłopskiej, czy z pańskiej, z której musi dla niego coś być. Nie to, że dla niego, ale dla wszystkich, którzy tu robią, a robią i po polach od rana do nocy kują. Niepodobna żeby tylko pieniądze na to było potrzeba — mo-



że też i jakiej woli między ludźmi, jakiego tam sposobu, by się tu na tem nie jak na cudzem robiło.

Tedy chodząc z lachą po wspólnych niwach, wiązał z niemi pocałunków żyłka za żyłką całe swe serce — i ciągnął z nich myśli aż gorzkie tak treściwe. Od myśli tych za ciężkich na jego głowę oderwały go sprawy pojętne dla każdego, wiadomości wcale dobre.

Julka — żrenica oka — ukochana córuchna kochała się i w niej nawzajem kochał się nie byle kto, lecz syn pierwszego włodarza, Szczepan Posiłek.

Z początku nikt nic nie wiedział, że miała z nim znajomość, a oni chodzili ze sobą nad stawem, zaraz koło dworu, po cienistej alei, albo szli między ogrody — na gładką trawę do zielonych ustroni.

Dnia jednego Szczepan jej rzekł:

— Jo się już dawno do ciebie namyślił. Takaś zdarzona, raźniuchna. Co ino uczynisz, to mi się tak podobno.

Mowę tę zaczęły wnet dzień po dniu powtarzać drzewa, jako też wszystkie rzeczy, które są naokoło, aż póki nie zostały powiedziane drugie słowa, które rzekły:

— Jo bym ten wionzyszek, tysiącami płacił, maluśka. — Do nóg bym o ciebie twoji mamie upadł, bo jak cie nie widze, to mi się wszystko myli.

Nie płacił go tysiącami, lecz nie były to żarty — inaczej Julka by nic nie mówiła — tymczasem wszystkim powiedziała, że miał z nią zaręczyny i że będzie się żenił. Jej ma się rozumieć nie chodziło o to, czyj on tam jest, ani co ma,

lecz rodzicom zdrząły serca — i bardzo czekali potwierdzenia. Przyszło niedługo. Młodzieniec był się pokłonić i obiecywał, że przyszłe swaty. Potem zaczęło się to odwlekać. Myśleli, że Posiłkowie się sprzeciwiają, lecz Julka mówiła, że ona sama nie chce się spieszyć.

— Niech się jeszcze z mojom mamom naciesze — mówiła. Tedy byli zupełnie dobrej myśli i czekali.

Siedząc wobec wieczornej zorzy przed swym nędznym czworakiem, radowali się teraz nadejściem lepszych czasów.

Lub niekiedy w niedzielę szli na trawę koło murowanki, która tej wiosny podniosła się, aż po wiązanie dachu. — Gdy było patrzeć z niska to czerwone mury sięgać się zdawały aż do nieba — i w środku tam, gdzie mieszkać będą, też widać było niebo górą przez puste okna. Na to patrząc, tem bardziej widzieli, że nic im tu odmówione nie będzie.

Tylko Zuzia przyczyniła im nieco smutku i zamieszania w te bardzo dobre czasy. Gdyż zaczęła znów niezwykajnie słabnąć na krzyż, tak że przestała robić i ledwo, że chodziła — pewno będzie musiała świat ten porzucić.

— Już ona nie pożyje — mówili i szukając dla niej pocieszenia, znajdowali je w rzeczy, o którą by się gniewać i martwić było trzeba. W tę porę, kiedy Zuzia była mocniejsza, zaczęła była chodzić na granie — i jak mówiono nie bardzo się tam szanowała. Pietrkowi Baterce czynić ze sobą dała, co nie przystoi panience we wianeczku.

Lecz może nie wiele już jej było życia, jakże się kto miał kłopotać, że się troszeczkę nacieszyła tem, co jej nie pisano.

Tyle mieć będzie, że się za życia z chłopcem naradowała — choćby zraz albo ze dwa, że doznała tego, z czego się snuje nasz żywot.

Rodzice by jej tego szczęścia niczem nie opłacili — a tak doświadczyła, jaką jest owa dobrość, która sprawia, że się koło nas dom stanowi choćby i dachu nie było — owa ta dobrość, przez którą jak pół rodziny — wymrze — to drugie pół na nowo do życia powstaje — co miało miejsce i u nich gdy w latach już, syna Józia sobie zrodzili, co tu z dnia na dzień mądrzeje — i w oczach pięknie wyrasta. Jeżeli Pan Bóg w kościele nie pobłogosławił Zuzinego związku, to w miłosierdziu swoim daruje, że go posmakowała.

JOSEPH CONRAD (JÓZEF KORZENIOWSKI)

TŁUMACZYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

Z POWODU DOLARÓW

4

„Nie będę potrzebowała się już malować i farbować“, przerwała, „jeśli tylko uczynisz to, co on chce. Wiesz, że ja zawsze byłam gotowa pomagać tym, z którymi żyłam, jeśli tylko chcieli“.

Davidson nie wątpił w jej dobrą wolę, ale nie dowierzał bynajmniej Bamtz'owi. Bamtz chciał, aby mu Davidson obiecał dojeżdżać mniej więcej regularnie do Mirrah. Zdało mu się, że mógłby z powodzeniem handlować ratanem, gdyby mógł liczyć napewno na statek, któryby mu przywoził towary, a zabierał jego surowiec.

„Mam parę dolarów, z którymi mogę rozpocząć interes. Ludzie tu są porządni“.

Przybył do Mirrah nieznany zupełnie na prawo krajowców; swoim spokojnym zachowaniem się i umiejętnością przemawiania do krajowców potrafił wkraść się w łaski ich wodza.

„Orang Kaya dał mi ten pusty dom i pozwolił mi w nim mieszkać, dopóki tu pozostanę“ dodał.

„Pomóż nam, Davy“, zawołała nagle kobieta. „Pomyśl o mojem małym biedactwie“.

„Czyś go widział? Zabawne stworzenie, nieprawda?“ zapytał nawrócony szwindlarz z takim zainteresowaniem, że aż Davidson spojrział na niego z pewną sympatją.

„Ostatecznie mogę tu czasem wstępować“, zgodził się wreszcie. W pierwszej chwili miał ochotę postawić Bamtz'owi za warunek dobre obchodzenie się z Anną, lecz powstrzymała go niezwykła jego delikatność i przekonanie, że obietnice takiego osobnika nie mają żadnej wartości. Anna odprowadziła go kawał drogi, rozmawiając z nim niespokojnie.

„Wszystko to robię dla małego. Nie mogłabym go trzymać przy sobie, gdybym była zmuszona tułać się po miastach. Tu przynajmniej nigdy się nie dowie, kim była jego matka. I Bamtz bardzo go lubi, prosto przepada za nim. Nie wiem, jak mam za to Bogu dziękować“.

Davidson wzdrygnął się na myśl o tej nędzy istoty ludzkiej, która Bogu dziękowała za łaski czy przywiązanie, okazane przez Bamtz'a. „I myślisz, że wytrzymasz tutaj?“ zapytał ze współczuciem.

„Czy ja wytrzymam! Wiesz przecież, że jak przylgnę do jakiego człowieka, to już na złe i na dobre, aż dopóki mu się nie sprzykrzę. Spoj-

rzyj, jak ja wyglądam; w głębi nie zmieniałam się jednak wcale; w stosunku do każdego z nich byłam zawsze uczciwą, ale cóż, kiedy im się prędko przykrzyłam. Ach! Davy! Harry nie powinien był mnie porzucić; to on mnie pierwszy uwiódł“.

Davidson wspomniał wówczas, że Harry Poławiacz Pereł umarł przed paru laty i zapytał, czy słyszała o tem.

Skinęła głową potwierdzająco. Szła obok Davidson'a w milczeniu prawie do samego wybrzeża. Potem zwierzyła mu się, że spotkanie z nim obudziło w niej wspomnienie dawnych czasów. Nie płakała już od lat. Nie należała do rzędu kobiet, co płaczą byle czego, ale gdy usłyszała, jak ją nazwał Anną Śmieszką, nie mogła powstrzymać się od łkań. Jednego tylko Harry'ego kochała. A innych...

Wzruszyła ramionami. Dumna była ze swej lojalności względem kolejnych towarzyszy swych smutnych przygód. Nigdy nikogo nie oszukała i miała swoją wartość jako towarzyszka życia. Niestety, mężczyźni prędko mieli jej dosyć. Widocznie wogóle nie rozumieją kobiet — tak to sobie tłumaczyła.

Davidson chciał ją w sposób delikatny ostrzec przed Bamtz'em, lecz nie pozwoliła mu dokończyć: dobrze wiedziała, co mężczyźni są warci; wiedziała też dobrze, co wart Bamtz, ale był nadzwyczajnie przywiązany do małego. Davidson nie nalegał więcej, pomyślawszy, że Anna Śmieszka nie mogła już mieć żadnych złudzeń. Przy pożegnaniu uściśnęła mu silnie rękę.

„Dziękuję ci za malca, Davy, dziękuję ci. Czy to nie miłe dziecko?“.

II.

Dwa lata upłynęły od tych wypadków do chwili, gdy Davidson z moim znajomym znaleźli się w tej oto sali. Za chwilę zobaczysz, jak tu czasem bywa pełno. Wszystkie miejsca będą zajęte, zauważ, jak stoły stoją blisko siebie; krzesła stykają się prawie. Bardzo tu jest gwarno około pierwszej.

Nie przypuszczam, aby Davidson bardzo głośno mówił, ale pewnie musiał głośno podnieść, rozmawiając przez stół z moim znajomym. Przypadek, zwykły przypadek, zrzucił, że tuż za krzesłem Davidson'a znalazł się człowiek, obdarzony znakomitym słuchem. Można było po-

stawić dziesięć przeciwko jednemu, że niema w kieszeni za co zjeść śniadania. Lecz wyjątkowo miał pieniądze, zapewne oszukał kogoś w karty poprzedniej nocy. Był to wesoly osobnik, zwany Fector'em, mały, chudy, żywo gestykulujący, z mętnymi oczami w czerwonej twarzy. Podawał się za dziennikarza tak, jak pewnego gatunku kobiety podają się w biurze urzędu policyjnego za aktorki.

Obcym opowiadał, że ma sobie powierzone za zadanie wyszukiwanie nadużyć i walkę z nimi, gdziekolwiekby je spotkał. Dawał też do zrozumienia, że był męczennikiem i, rzeczywiście, nie było prawie miejscowości między Cejlonem a Szanghajem, w którejby go jako zawodowego szantażystę nie wychłostano, skopano, więziono, a wreszcie ze wstydem wypędzano.

Widocznie fach ten wyrabia spryt i dobry słuch. Zapewne nie usłyszał, wszystkiego co Davidson opowiadał o zbieraniu dolarów, ale wystarczało to, aby w ruch wprowadzić jego pomysłowość.

Poczekał, aż Davidson wyszedł i pobiegł w dół do dzielnicy krajowców, do pewnego rodzaju zajezdnego domu, utrzymywanego przez Portugalczyka, jakich wielu i pewnego bardzo podejrzanego Chińczyka. Zajazd ten zwał się hotelem Macao, lecz była to prosto szulernia, przed którą, jak sobie może przypominasz, często ostrzegano.

Tam poprzedniego wieczoru Fector spotkał dwóch godnych kompanów, parę jeszcze dziwniejszą, niż Portugalczyk z Chińczykiem. Jednym z nich był Niclaus, wiesz, ten osobnik z tatarskimi wąsami i żółtą cerą, podobny do Mongoła, tylko oczy miał proste i twarz nie taką płaską. Nie można było określić do jakiej rasy należy. Moznaby przypuszczać, że to biały człowiek chory na żółtaczkę i zapewne tak było. Należało do niego malajskie prao, sam nazywał siebie Nakhoda, co oznacza tyle co: Kapitan. Widział! przypomniałeś go sobie teraz. Nie ulega żadnej wątpliwości, że nie mówił żadnym innym europejskim językiem, tylko angielskim, ale na swem prao wywiesił flagę holenderską.

Drugim współnikiem był Francuz bez rąk; ten sam, któregośmy znaleźli w 79 roku w Sydney, gdzie miał sklepik z tytunem w dolnej części George Street. Pamiętasz to ogrom-

ne cielsko, zgarbione za kontuarem, tę wielką, bladą twarz i, nad wysokim czołem, długie czarne włosy, zaczesane w tył, jak u poety. Wiecznie usiłował swemi kikutami kręcić papierosy na kolanie, narzekając „mon malheur”. Ręce urwał mu wybuch dynamitu, gdy łowił ryby na lagunie. Zdaje mi się, że od czasu tego wypadku stał się jeszcze złośliwszym, a przedtem nie był też łagodnym.

Opowiadał zawsze o tem, że kiedyś „wznowi swoją działalność”, jeśli tylko znajdzie inteligentnego współnika. Bez wątpienia ten mały sklepik nie był dla niego odpowiednim polem działania, a chorowita kobieta z podwiązaną twarzą, która ukazywała się czasem w drzwiach w głębi, nie była stworzoną na towarzyszkę dla niego.

I rzeczywiście, wkrótce potem, zniknął z Sydney po zatargu z urzędnikami akcyzy o wykradzione towary ze składu, czy o jakąś inną sprawę. Kobietę pozostawił w Sydney, ale musiał mieć towarzysza, bo sam nie mógł dać sobie rady;

lecz nie można się było nawet w przybliżeniu dowiedzieć, kto był jego towarzyszem, dokąd udali się razem i jakich miał potem wspólników.

Dlaczego zjawił się tutaj, nie umiem powiedzieć. Przed moim stąd wyjazdem zaczęto opowiadać, że widziano tu i owdzie Francuza bez rąk. Lecz nikt jeszcze wówczas nie wiedział, że pokumał się z Niclaus'em i zamieszkał na jego

prao. Przypuszczam, że to on namówił Niclaus'a do niejednej sprawy; bądź co bądź była to spółka. Niclaus bał się Francuza, gdyż ten miewał napady okropnego gniewu; wyglądał wówczas, jak wcielony djabeł, ale człowiek bez rąk, nie będący w stanie ani unieść, ani nabić broni, może się tylko rzucić z zębami, a przed taką napaścią Niclaus wiedział, że się sam obroni.

Siedzieli we dwóch w pustym hall'u tego podejrzanego hoteliku, gdy zjawił się Fector. Po dłuższym kołowaniu, gdyż nie był pewien do jakiego stopnia może im zawierzyć, powtórzył, co podsłuchał w barze.

Opowiadanie jego nie wywołało wielkiego wrażenia, dopóki nie wspomniał zatoki i nazwiska Bamtz'a. Niclaus, który podróżował, jak krajowiec, na swem prao, był według własnego wyrażenia „obznajmiony z okolicą”. Ogromny Francuz, chodząc tam i z powrotem po pokoju z kikutami w kieszeniach od kurtki, zatrzymał się ze zdziwienia: „Comment? Bamtz? Bamtz?” (c. d. n.)



W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

22

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



ięc sam przyjechał po mnie! Nie upłynęło pół sekundy, a już stał przede mną uśmiechnięty i całował obie moje ręce, mówiąc z ożywieniem:

— A co? Nie spodziewałaś się? Wkładaj kapelusz, Krysiu, i jedziemy. Widzisz, jaki jestem przebiegły! Nie podobała mi się twoja mina wczorajsza... Wogóle zauważyłem, że chętnie uniknęłabyś naszego spotkania. Ale nie dam się wykwitować. Jestem natrętny, jak widzisz. Ha, trudno...

Taki był wesół. Musiałam się roześmiać. Aby odrazu nadać „charakter” naszej rozmowie, spytałam:

— Czy to prawda, co ludzie mówią, że zamierzasz sprzedać Klimontowce?

Po twarzy jego przebiegł cień.

— Nic jeszcze nie wiem... — odparł prędko — Miałem takie plany... Zresztą — zobaczę. Myślę, że raczej nie. W dodatku, to nie łatwa sprawa, sprzedać taki duży majątek. Trzeba mieć kupca...

Zamilkliśmy oboje. Mimowoli czułam żal do Zbigniewa, że tak lekko mówi o sprzedaży. Po długiej pauzie zapytał:

— Czemu milczysz? Czy się jeszcze namyślasz?..

— Myślę — odparłam cicho — coby powiedziała ciotka Eufemja, gdyby naprzykład Janusz w swoim czasie powziął myśl sprzedania majątku...

— „Cotka rodu”? Ha ha! — usiłował się śmiać — Istotnie, miałby się z pyszna. Ale widzisz, wtedy, to było wtedy, a dziś — jest dziś.

— Tak. Dzisiaj niema już starej ciotki, niema Emilki, wogóle niema powodu do namysłu, czy wolno sprzedawać Klimontowce, które w obecnych czasach są ciężkim serwitutem. Rozumiem to.

— Mylisz się, Krysiu. Jest powód. Jest nawet ważny powód. Jeżeli ty uważasz z jakichkolwiek względów, że powinienem zatrzymać majątek — czekam na jedno słowo z twoich ust. Ty wiesz, jak każde twoje życzenie było dla mnie zawsze święte. Musisz to chyba pamiętać.

Spojrzał na mnie uważnie. Nigdy nie mogłam wytrzymać spokojnie takiego spojrzenia. Nawet wtedy umyślnie unikałam jego wzroku, bo czułam, że mi wola stopnieje, jak wosk. I teraz musiałam prędko odwrócić głowę. Mój wzrok padł na oczekujący powóz.

— Więc jakże, pojedziemy?

— Jestem doprawdy zaskoczona twoją energją. Czy wiesz, byłabym może nie przyjechała dzisiaj.

— Przewidywałem to — odparł krótko — Ubieraj się, proszę. Stara Wątkowa czeka już pewnie z podwieczorkiem.

Wyszliśmy. Przed domem czekał burmistrz.

— To ja, proszę pana, przyjdę jutro do Klimontowiec?

— Tak, jutro, jutro! — odrzekł Zbigniew i podał mi rękę, pomagając wgramolić się na wysoką, starą bryczkę.

— Ładny wehikuł, co? — zauważył, gdy wreszcie bryczka z okrutnym zgrzytaniem zardzewiałego żelastwa ruszyła ulicą, pełną wybojów, tak, że co chwila podskakiwalimy pomimo trzymania się poręczy — Teraz tam wszystko ta-

kie w Klimontowcach. Istna ruderca cały dwór, a o stanie narzędzi rolniczych lepiej nie mówić. Ot, bezpieczny dom...

— Pocoście wyjeżdżali do tej Rosji?

— Po co? Sam nie wiem. Janusz twierdził, że musi, Emilka mu towarzyszyła, no, a Ela nie mogła rozsądzić się z matką. Wiesz, jaka była zawsze rozpieszczona. Nie pomogły żadne perswazje. Prosiła, płakała.. No i pojechaliśmy. Co to była za gehenna, tych pięć lat!.. Ostatecznie śmierć moich teściów nastąpiła dzięki strasznym wprost warunkom życia, a my...

Umilkł i zapatrzył się kędys w dal martwym wzrokiem. Po chwili szepnął:

— Mieliliśmy synka... Zapewne nie wiedziałś o tem?

— Nie... Skądże mogłam wiedzieć? Od Emilki dostałam tylko dwa listy, już bardzo, bardzo dawno. Pisała przez jakąś okazję. A potem już nic... Czasem jakieś oderwane wieści dobiegały mię. Doniesiono mi o śmierci Janusza, potem wyczytałam nekrolog Emilki w jakimś piśmie, przywiezionem z Kijowa. Mówisz: mieliście synka. Czy...

— Tak, umarł wkrótce po urodzeniu. Był za wątły. A potem Ela dostała jakieś gorączki. Doktorzy twierdzą, że to się zdarza... Kilka miesięcy była zupełnie nieprzytomna. Teraz to przeszło. Ma tylko melancholję. Dlatego mieszkamy stale w mieście... Chwilami ludzie się jeszcze, że to minie z czasem... Że towarzystwo ludzi pogodnych, zabawy, rozrywki... Et, człowiek zawsze żyje nadzieją.

Uśmiechnął się smutno:

— Widzisz. Nie szło nam życie po różach. Owe dwanaście lat, to jedno nieprzerwane pasmo udręczeń. Z początku było jako tako. Jednak do ciebie czułem żal. Możemy o tem wspominać — teraz, prawda?

— Myślę, że tak, Zbigniewie.

— Miałem do ciebie bardzo głęboki żal, Krysiu. Może niesłusznie. Ostatecznie, nie wolno ci było tak postąpić. Ale mniejsza z tem. Dziś trochę więcej pojmuję. Myślałem o tobie tak wiele. Zwłaszcza we wszystkich lepszych godzinach życia. Widzisz, właśnie wtedy. Ta biedna Ela, zakochana we mnie aż do pokory, wzruszała mię serdecznie. Potem — oczekiwane bli-

ska trzy lata — miało przyjść na świat dziecko... To wszystko były rzeczy, które nas silniej związały, niż mogłem sądzić. Bo ja z początku nie wierzyłem, Krysiu, że zdołam ją chociaż trochę pokochać... I dzisiaj, trudno mi nazwać miłością, uczucie, które mam dla niej...

— Czy koniecznie chcesz mówić o tem, Zbigniewie? Właśnie... ze mną? Czy uważasz, że to potrzebne?

— Tak, Krysiu. Mnie to jest bardzo, bardzo potrzebne. Nie możesz nawet zrozumieć, do jakiego stopnia ta rozmowa jest ważną. Muszę ci wszystko powiedzieć o sobie, a potem ty mi opowiesz, co zechcesz. Dziś, właśnie teraz, gdy taki wielki szmat czasu położył się między tem, co było, a tem co jest, możemy mówić, jak dwoje przyjaciół, którzy się bardzo dawno nie widzieli, ale przecież nie zdołali wypłenić z serca tych wszystkich uczuć...

— Może masz słusność. Cieszy mię, że tak mówisz. Jesteśmy przyjaciółmi, Zbigniewie.

— Tak, tak, będziemy przyjaciółmi. Wierzę w to. I jeszcze dodam, że ta właśnie wiara była mi bardzo pomocna w życiu. Wiedziałem, że się kiedyś spotkamy, że będziemy mówili ze sobą, jak teraz, będziemy jeszcze sobie wzajemnie potrzebni.

„Wehikuł“ skrzył w aleję. Z podwórza rozległo się szczekanie. Dwa wielkie psy jęły targać łańcuchami, ujadając wściekle.

— Cicho tam, wy! — krzyknął zirytowany stangret — Ot, kundle, nie poznają, że swój jedziel!

— Był czas, że wszystkie psy podwórzowe biegły na nasze spotkanie, pamiętasz, Krysiu? — ozwał się Zbigniew i dodał z goryczą: — Wtedy też Klimontowce były bardziej moje niż dziś, gdy jestem ich właścicielem...

XXVIII.

Dziś znowu przybiegł do mnie zdyszany Teoś i uroczyście odrecytował:

— Pan mię przysyła, żeby powiedzieć pani, że pan będzie po południu w miasteczku i tu po panią wstąpi, więc żeby pani była gotowa pojechać, bo pan bardzo prosi panią na podwieczorek do Klimontowiec!

To tak codziennie, już od tygodnia. Wiem, że Zbigniew ma mnóstwo spraw na głowie i że nie dla mnie specjalnie przyjeżdża do N; ale każda taka bytność w miasteczku kończy się na naszej wspólnej wycieczce w pola, do lasu i wreszcie „ładujemy“ w Klimontowcach, gdzie nas już oczekuje Wątkowa z olbrzymim garem zsiadłego mleka i michą dymiących kartofli. Zwykle Teoś przynosi jeszcze maliny leśne i takie mnóstwo czarnych jagód, że nietylko my, ale z pół tuzina gości nie mogłoby im podołać.

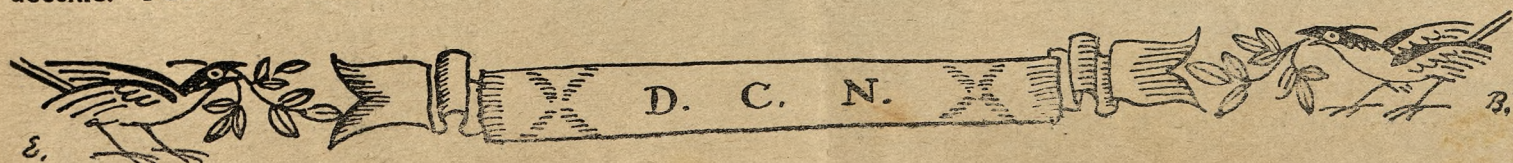
Siedzimy sobie we dwoje przy ogromnym stole, na ganku i gadamy, gadamy bez końca. Jak ten czas leci! Niespodziewanie dla nas obojga zapada zmierzch i wyłania się z za drzew puciołowaty księżyc. Wówczas dopiero przytomnieje, zrywam się z miejsca.

— Boże drogi, to już tak późno! Znowu pobudzę wszystkich w domu, bo nie zabrałam klucza!

I czynię w duchu silne postanowienie, że to już po raz ostatni. Jutro powiem Zbigniewowi stanowczo: Albo mię z Klimontowiec wyprawisz wcześniej o dwie godziny, albo też wcale nie pojedę.

Wiem, że pojedę. Nie mówimy sobie przy pożegnaniu: „do jutra“! — ale to się samo przez się rozumie. Chwilami, jak czarne skrzydło kruka, przemknę przez głowę myśl, że to wszystko wkrótce się skończy. Nie wiem, jak długo jeszcze Zbigniew tutaj zabawi. Nie pytam o to, nie miałabym odwagi zapytać. Żyję chwilą obecną, staram się nie wybiegać w przyszłość. Jest mi tak bardzo dobrze. Nigdybym nie sądziła, że po tylu latach beznadziejnej tęsknoty zdołam z takim spokojem patrzeć na niego, słuchać jego głosu, opowiadać mu własne dzieje.

Ani jedno jego spojrzenie nie jest mi obce. Obserwując przez długie godziny tę drogą twarz, dostrzegam w niej zmiany, jakie czas musiał, naturalnie, poczynić. Kilka nowych zmarszczek na czole, sporo siwych włosów na skroniach. A jednak to ten sam człowiek, ten sam. Poznają każdy jego uśmiech, każde drgnienie ust, każdy błysk oczu. Ze spokojnem szczęściem słucham najprostrzych słów i w zakamarkach wspomnień odnajduję zupełnie podobne rozmowy.



KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773 — 1831

16



Tegoż samego wieczora, w teatrze, pasierbice lady Sary, pułkownikówny Napier wraz z lady Castlereagh usłyszały, jak w sąsiedniej łoży wice-króla opowiadano sobie z cicha o aresztowaniu lorda Edwarda i ranach, jakie odniósł. Przerażone, pobiegły do domu. Jedna z nich poszła pod jakimś pozorem do Pameli, o niczem nie wiedzącej i dotrzymała jej towarzysztwa przez noc. Zrana dopiero oznajmiono ostrożnie o nieszczęściu. Biedna kobieta, szalała z rozpacz, nie mogła znieść myśli, że mąż, ranny, leży sam, bez opieki; błagała, aby jej pozwolono podzielić jego niewolę.

Lady Luiza Conolly poszła z tą prośbą do Castlereagh'a. Odpowiedź była twarda i posępna. „Niech lady Edwardowa dziękuje Bogu, że zostawiono ją w spokoju. Rząd ma dość dowodów w ręku, aby ją kazać osądzić i powiesić.”

Rozpacz i miłość włożyły w usta wątłej i dziecinnej nieraz kobiety odpowiedź bohaterską: „Niech ją sądzą, niech ją skazają, tylko niech ją dziś, zaraz, w tej chwili puszcza do męża!”

Odparto jej rozkazem natychmiastowego wyjazdu, wydanym w formie brutalnej. Gdyby nie opieka i wpływ lorda Moiry i jego dobrej żony, odstawionoby Pamelę na okręt żandarmami, jak włóczkę lub kobietę lekkich obyczajów. Wpół obłąkana z bólu, chwiejąca się na nogach, z niemowłeciem nie mającym jeszcze miesiąca — maleńką Lucy, na ręku i płaczącą trzyletnią Pam u boku, opuściła Irlandję pod opieką kapelana domu Moirów, z trudem otrzymawszy pozwolenie wstąpienia do matki męża.

Denuncjacom Turnera zawdzięczała młoda kobieta, że potraktowano ją tak surowo, jak niebezpieczną agentkę rewolucji. Dodać trzeba, że władze Dublińskie, podpisując rozkaz banicji Pameli, nie czuły się wcale bezpieczne.

Na miasto szła fala chłopskiego powstania.

Mimo, że wraz z Fitz Geraldem uwięziono i resztę przywódców wskutek donosu trzeciego zdrajcy:

Armstronga, który wydał wszystkie plany wojskowe, prowincja powstała w noc umówioną. Bez wodzów, bez rozkazów, trzymając się jedynie dawniej otrzymanych instrukcyj, ci biedni ludzie bili się dzielnie i zmusili w niejednym miejscu do haniebnego odwrotu wojsko regularne. Szli ławą na Dublin, a hasłem ich było zdobyć zamek, odbić więźniów, a zwłaszcza Fitz Geralda.

Gdyby oczy Pameli nie były ślepe od łez, ujrzałaby, siadając na okręt 23 maja, jak ogniowe wieńce otaczają stolicę.

Na płonących przedmieściach walczyły powstańcze oddziały. Lord Edward w głębi swego więzienia słyszał ze wszystkich stron ogień rotowy. Aż wystąpiła ciężka artylerja angielska i rozprószyła niedostatecznie zbrojne drużyny. Rannek, mający być świtem wolności dla Irlandji, wstał cichy i szary, a tylko gromady jeńców zaczęły napływać do fortecy, na której dziedzincu zwycięscy zaczęli stawiać szubienice.

* * *

Pamela jest od wczoraj u nas — pisze lady Lucy w dzienniczku swoim dnia 30 maja — podała o pozwolenie pozostania w Londynie. Jakież potwór mógłby żądać teraz jej wyjazdu?”

Znalazł się taki potwór, a był nim „papa” Ogilvie.

Nie ukrywał on wcale swej niechęci do żony swego nieszczęśliwego pasierba, a gdy za wstawnictwem Sheridana pozwolono jej zostać, zrobił biednej, znękaney kobiecie gwałtowną scenę. „Zachował się wobec nas obydwóch okropnie — pisze oburzona Lucy — wuj Richmond jednak wziął Pamelę pod swoją opiekę i nikt jej stąd nie ruszy.”



Na zawsze już, do końca życia, zachowała Pamela przekonanie, iż pan Ogilvie zdradził tajemnicę schronienia Edwarda i przyczynił się do jego ujęcia.

Od pierwszej chwili swego przyjazdu wyczytała w oczach ojczyma męża nienawiść, jaką czasem czuje krzywdziciel dla swej ofiary.

Za to reszta rodziny przyjęła ją z najtkliwszym współczuciem, a księżna w macierzyńskim utuliła objęciu, mieszając swoje łzy z jej łzami. Wśród tylu dobrych, życzliwych, dostojnych ludzi, otucha zaczęła wstępować w serce biedaczki. Czyż możliwe, aby oni dali Edwardowi krzywdę zrobić? Czyż nie ujmie się za nim księżę Walji, o którym Sheridan prawił cuda, że wielce liberalnym hołduje maksimum, choć ukrywać je musi do czasu, aż tron odziedziczy. Mówiono, że nieszczęsnej Irlandji sprzyja serdecznie i o Edwarda pyta ze łzami w oczach?

Byle tylko ukochany chory wyzdrowiał! Lekarz dubliński zapewniał rzekomo, że rany jego nie są groźne. Księżna matka uspokoiła się nieco i odwłóczyła zamierzoną podróż do Dublina, sądząc, że najlepiej synowi usłuży, gdy o odroczenie procesu starać się będzie, zabiegając u książąt i ministrów.

Jedna Lucy przeczuwała istotny stan rzeczy i rozpaczała. Henryk pospieszył do Dublina, ale nie było nawet mowy, aby go do więzienia dopuszczono. Umysły były rozjątrzone. Dublin wyglądał, jak obóz. Prowincja stała w ogniu. Bito się na południu. Powstańcy opanowali miasto Wexford, ustanowili rząd republikański, zatknęli zielony sztandar ze starem, celtyckim godłem: Erin go bragh. (Irlandja na zawsze).

Wojska angielskie zdemoralizowane łatwą walką z bezbronną ludnością, teraz uciekały w panicznym strachu przed kosami i pikami rozjuszonych insurgentów. Aż pod Vinegar hill zadał powstańcom klęskę generał Lake, nadciągający z przeważającymi siłami. Za strach przebyty mściły się „czerwone mundury” okrutnie, zalewając kraj potokami krwi i zostawiając za sobą gruzy i zgłiszczca. W Dublinie codziennie odbywały się egzekucje.

(c. d. n.)

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



W związku z zaprowadzoną niedawno w niektórych Stanach Ameryki Północnej ustawą, dopuszczającą kobiety narówni z mężczyznami do pełnienia obowiązków sędziów w sądach przysięgłych, Dr. Florence E. Allen, zajmująca blisko od roku stanowisko sędziego przy Sądzie Najwyższym w stanie Ohio (nawiasem mówiąc, pierwsza w Ameryce kobieta na tem stanowisku), pisze w tygodniku kobiecym „The Woman Citizen” co następuje:

„Z radością stwierdzić mogę, że kobiety w roli sędziów przysięgłych zyskały sobie — wbrew wszelkim pesymistycznym przepowiedniom przeciwników równouprawnienia — ogólne uznanie najpoważniejszych i najbardziej miarodajnych sfer.

Jeden ze znanych prawników zapewnił mnie niedawno, że powołanie kobiet do sądów przysięgłych w stanie Ohio podniosło w bardzo wysokim stopniu poziom moralny i intelektualny tych sądów. Przytaczam tu własne jego słowa: Kobiety pełnią obowiązki sędziów przysięgłych nie tylko inteligentniej, ale przede wszystkim daleko bardziej sumiennie od mężczyzn”.

Zdanie to podzielają i inni prawnicy amerykańscy, do których zwracałam się z pytaniem w tej sprawie. Twierdzą oni zgodnie, że kobiety w pełnieniu funkcji sędziowskich wykazują daleko idącą bezstronność i sumiennosc, że nie kierują się osobistymi względami uczuciowymi, że wyrok, wydany przez nie, nosi zawsze cechy głębokiego namysłu i poczucia sprawiedliwości, i t. d. Jeden z sędziów, z którym mówiłam na ten temat, posunął się tak daleko, iż wydał mi piśmienne zaświadczenie, w którym stwierdza, iż na zasadzie swej obserwacji doszedł do przekonania, że kobiety w roli sędziów przysięgłych wykazują daleko więcej zalet niż mężczyźni, w szczególności zaś (cytuję dosłownie) „nie ulegają tak sugestji przemówień oskarżonych lub też ich obrońców, i daleko trudniej jest ukryć przed nimi w obstonie pięknych słówek sam fakt przestępstwa”.

Co do mnie — pisze dalej Dr. Allen — wyznaję, że najbardziej w tem wszystkim cieszy mnie fakt większego zainteresowania naszego społeczeństwa sprawą sądów przysięgłych.

Od czasu powołania do nich kobiet, uwaga ogólna, zwrócona na ten dział naszego życia społecznego, przyczyniła się do uświadomienia obywatelom naszego stanu znaczenia i wartości tego obowiązku. Dlatego też należy sobie życzyć, aby wszystkie bez wyjątku stany naszej ojczyzny wprowadziły czem prędzej u siebie tę ustawę, która tu u nas w przeciągu tak krótkiego czasu dała już tak pomyślne wyniki”.

JAKICH WYNAŁAZKÓW DOKONAŁY KOBIETY?

Pisaliśmy już na tem miejscu przed kilkoma tygodniami o wroście wynalazczości wśród kobiet angielskich i o dokonanych przez pewną kobietę wynalazku z dziedziny technicznej, wprowadzającym nową, ulepszoną metodę wentylacji kopalń. Jedno z zagranicznych pism kobiecych przypomina z tego powodu pamięci ogółu cały szereg wynalazków, dokonanych swego czasu przez kobiety, których nazwiska uległy przeważnie zapomnieniu.

Są to przeważnie wynalazki z dziedziny technicznej, nieraz bardzo pomysłowe i wysoce pożyteczne. Niektóre z nich mają nawet niezmiernie doniosłe znaczenie i powinny być zjednać wynalazczynie wszechświatową sławę, jak np. alfabet dla ociemniałych, skonstruowany w r. 1784 przez wiedeńkę, Marię Teresę Paradiz. Alfabet ten używany jest do dziś dnia na całym świecie we wszystkich zakładach dla ociemniałych — wyświadczył on ludzkości jedno z największych dobrodziejstw, umożliwiając naukę czytania i pisania nieszczęśliwym dzieciom, pozbawionym wzroku. A jednak — któż dziś pamięta o nazwisku jego wynalazczynie? Nie znalazło ono swego miejsca w Panteonie zasłużonych.

Inna kobieta, Charlotta Eichler, Niemka, dokonała niemniej ważnego dla dobra ludzkości wynalazku: jej to zawdzięczamy pomysł protezy, czyli sztucznej ręki lub nogi dla amputowanych.



Wśród wynalazków z dziedziny techniki i mechaniki wymienić należy przyrząd koronczarski, służący do wyrobu najcieńszych i najdroższych koronek, pomysłu niejakiej Barbary Utman, koronczarki z XVI wieku. Przy końcu XVIII wieku pewna Amerykanka wynajduje sposób najtańszego i najtrwalszego wyrobu jedwabiu, przyczyniając się do pomyślnego rozwoju jedwabnictwa.

Na liście wynalazków, dokonanych przez kobiety, figurują takie działy, jak aeronautyka, budowa okrętów i t. d. Pomysł skonstruowania pierwszej łodzi podwodnej zawdzięczamy podobno pewnej Angielce. Inna znów Angielka uzyskała pierwsza patent na wyrób specjalnego rodzaju hartowanego żelaza. Znanym jest także wynalazek Francuzki Sophie Germain, która studjami swemi nad giętkością stali dopomogła inżynierowi Eiffelowi do zbudowania słynnej wieży w Paryżu.

Tak popularne zagranicą taksonometry, czyli liczniki umieszczone na dorożkach konnych lub samochodowych i wskazujące ilość przejechanych kilometrów — są również wynalazkiem kobiety, dokonany 1847 roku przez pewną Amerykankę, Mary Trenn.

Widzimy więc, że wynalazki, dokonywane przez kobiety, nie są bynajmniej rzadkością, dziełem jakiegoś wyjątkowego, genialnego umysłu, jak np. słynne odkrycie radu, które sprowadziło przewrót w świecie naukowym. Z powyższego zestawienia wynika, że kobiety umieją pracować twórczo na każdym polu, nie ustępując bynajmniej mężczyznom na polu wynalazków.

„ZA ŁADNA, ABY BYĆ ADWOKATKĄ“!

Sąd apelacyjny w Paryżu był zmuszony przed kilku tygodniami do rozpatrywania sprawy niezwykłej. Chodziło mianowicie o rozstrzygnięcie zagadnienia: czy uroda może być (dla kobiety oczywiście!) przeszkodą w karierze adwokackiej, czy też nie?

Osoba, o którą chodziło — panna Marcela Durand — ukończyła z doskonałym dyplomem studia prawnicze na wszechniczy paryskiej i, naturalnie, zwróciła się do właściwych czynników z prośbą o zaliczenie jej w poczet adwokatów.

Stała się jednak rzecz nieoczekiwana. Oto grono starszych adwokatów zaprotestowało przeciwko przyjęciu panny Durand, stawiając jej cały szereg zarzutów, z których najważniejszym był ten: — że jest zbyt ładna na to, aby być adwokatem! Zarzucano jej po zatem i inne „przestępstwa”, jak to: że się

ubiera „à la garçonne“, nosi obcięte włosy, pędzi życie niezależne i t. d. Wskutek tego protestu odmówiono rzeczywiście pannie Durand zezwolenia na praktykę adwokacką.

Panna Durand nie dała jednak za wygraną i założyła „protest przeciw protestowi“, skierowując go do Sądu Apelacyjnego. Zabrały również głos w tej sprawie stowarzyszenia kobiece z Ligą Kobiet — Adwokatek na czele.

Sąd Apelacyjny, po rozpatrzeniu sprawy, orzekł, iż ani rysy twarzy, ani sposób ubierania się i czesania nie może wpływać na wykonywanie zawodu i udzielił pannie Durand patentu adwokacki.

„MORALNOŚĆ” JANKESÓW.

Czytamy w gazetach amerykańskich o zdarzeniu, które miało miejsce w miasteczku Shreveport, a które świadczy o wielkiej „surowości obyczajów“ Amerykanów, niesłusznie — jak się okazuje — pomawianych o lekkomyślność i brak poczucia moralności.

Oto pewien obywatel miasta Shreveport, niejaki John Barker, miał młodą i przystojną córeczkę, która od dzieciństwa objawiała wielkie zamiłowanie do sportów. Chcąc zrobić przyjemność swej córce, Barker obdarzył ją w dniu jej urodzin rowerem, o posiadaniu którego już oddawna marzyła szesnastoletnia panienka. Uszczęśliwiona tym darem dziewczynka sprawiła sobie męskie spodeńki i udała się na wycieczkę rowerową za miasto.

Okazało się jednak, że widok młodej dziewczyny w ubraniu męskim wzburzył umysły cnotliwych mieszkańców miasteczka, którzy udali się gremjalnie do Johna Barkera i zażądali, aby córce swojej zabronił uprawiać tak „gorszącego“ sportu. Barker odmówił, tłumacząc, iż córka jego jeździ na rowerze z polecenia lekarza. Wówczas „obrońcy moralności“ rzucili się na niego i potłukli go tak dotkliwie, iż — rad niera — musiał swej córeczce nakazać, aby nadal zaprzestała sportu, działającego w tak prowokujący sposób na opinię publiczną.

„LEKKA” TANCERKA.

W jednym z dancingów w Los Angeles popisuje się niezwykle swą zręcznością zawodowa tancerka, panna Alicja Foltan, która ma być skończoną mistrzynią sztuki choreograficznej, pomimo, iż waży... tylko 200 kilogramów! W roku bieżącym owa „gwiazda“ zawarła kontrakt z dyrektorem dancingu, w którym zaznaczyła, iż stałym jej partnerem w popisach tanecznych ma być tancerz Tom Tan, ważący 250 kilogramów.

Para „lekkich“ tancerzy tak sobie przypadła do gustu, że postanowiła wreszcie wstąpić w związku małżeńskie.

Z. B.

NA MARGINESACH ŻYCIA

Płyniemy statkiem po opalowej, wiślanej fali. Cisza, wietrzyk letni, spokój...

Mijamy cytadelę... w tem słyszę rozmowę.

— To taml... widzi pani.. na stokach, przy tych słupkach... widzi pani te trzy słupki?...

Młodzieniec informuje panię o miejscu stracenia trzech komunistów.

Było to rankiem poprzedniego dnia, więc rzecz zupełnie świeża... aktualna..

Młodzieniec jest dumny, że tak dokładnie wie...

Sensacja! Było to wczoraj... na trawach są może jeszcze krople krwi... widzą...

W idyllę niedzielnego spaceru po Wiśle wmieszała się woń krwi..

Sensacja!

Żle!

Stosunek publiczności polskiej do tych spraw powinien być zgoła inny.

Nawet, jeżeli przyjmemy, że konieczność państwowa zmusza, że bezpieczeństwo kraju nakazuje wydać wyrok śmierci i zatwierdzić go, to społeczeństwo zdrowe, normalne i naprawdę chrześcijańskie przyjąłoby fakt taki z bolesnym wzruszeniem i powagą, reagować nań mieszaniną smutku, odrazy, zgrozy, lecz nie bezmyślną i bezduszną ciekawością, dziką żądzą sensacji.

Ludzie kupią się dokoła informatora, nadbiegają inne panienki... Każda pyta gdzie?.. Jedne widzą „słupki“, inne nie

Prasa powinna milczeć, a nie okrutnymi opisami egzekucji rozbudzać w tłumach, śpiących w tajnikach podświadomości, sadyzm. Nawet i mówić nie trzeba, że te opisy mają często zgoła inne następstwa, niż oczekują ich autorowie: aureolą męczeństwa opromieniają skazańców...

Ale czegoż się nie robi dla sprzedania kilku tysięcy „dodatku nadzwyczajnego!“

„Rozchwytyany był...“ chwali się potem wydawnictwo.

O tak... rozchwytyany!

* * *

W którejś prowincjonalnej gazecie poruszono myśl, by zmienić obrzydliwe istnienie wyrazy znanej „Roty:“ „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz...“

Zmienić?.. Ale jak?

I oto jedna z Czytelniczek nadsyła proponowaną przez siebie zmianę tekstu:

Możem wrogowi plunąć w twarz,
„Bo dzieci nam germani!...“ i t. d.

Niesłychanie charakterystyczne!

Niepodległość w pojęciu współczesnych Polaków to tylko taka zmiana, że dawniej nam pluto w twarz, a teraz my możemy pluć innym... ale zawsze pluć!..

A twórca olbrzymich snów marzył niegdyś: „Kiedy prawdziwi Polacy powstaną,“ i t. d.

Kiedy prawdziwi Polacy powstaną...

Jeszcze nie! To jeszcze nie oni!.. To dopiero nieszczęsne pokolenie, jedną nogą stojące w grobie.. A nadto, to ludzie odurzeni wyziewami, płynącymi z nad granic.

Nie napróżno po tamtej stronie, w piekielnym kotle czarownic gotują się wszystkie zbrodnie świata.

Granica zielona... Przez granicę płyną tumany trujących gazów, co odurzają zmysły wizjami mordu i krwi. Przez granicę płynie zaraza bezprawia, nauka gwałtu i przemocy.

Ci wszyscy, co radzą Polsce chwycić się przeciw zbrodniom bolszewickim metod z tamtego świata zapożyczonych, ci wszyscy, nieświadomie dla nich samych, wchłonęli w płuca truciznę sowiecką. Bo Sowiety to nie tylko system polityczny i społeczny — to system amoralizmu w polityce, w życiu, w stosunkach międzynarodowych i międzyludzkich.

Nie zbliżonych metod, a wprost przeciwnych używać musi Polska zmartwychwstała. Granicę duchową między sobą, a Rosją ustalić musi; słupami granicznymi stać się musi: panowanie prawa, ideał sprawiedliwości, tolerancji, wolności, humanitaryzmu.

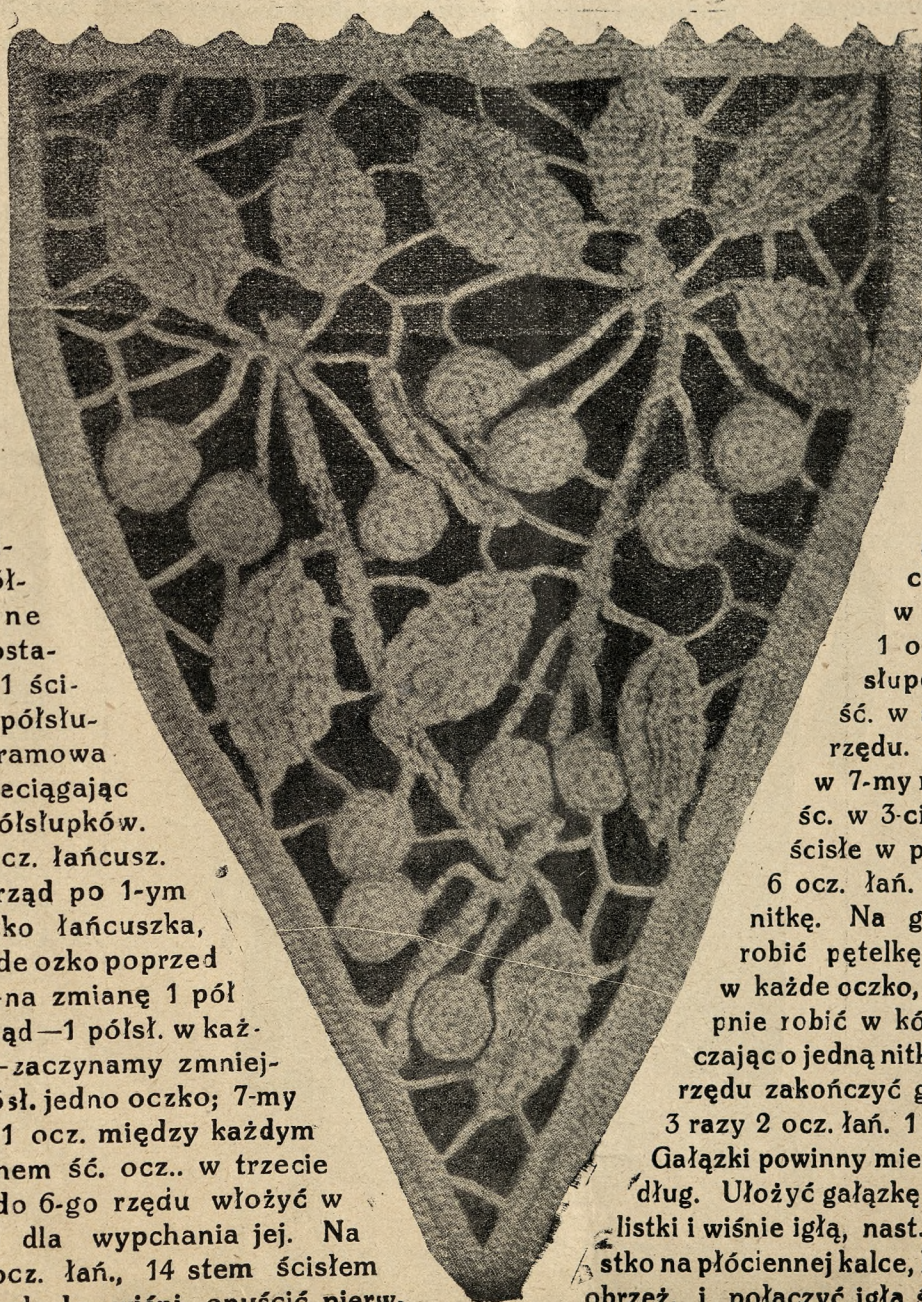
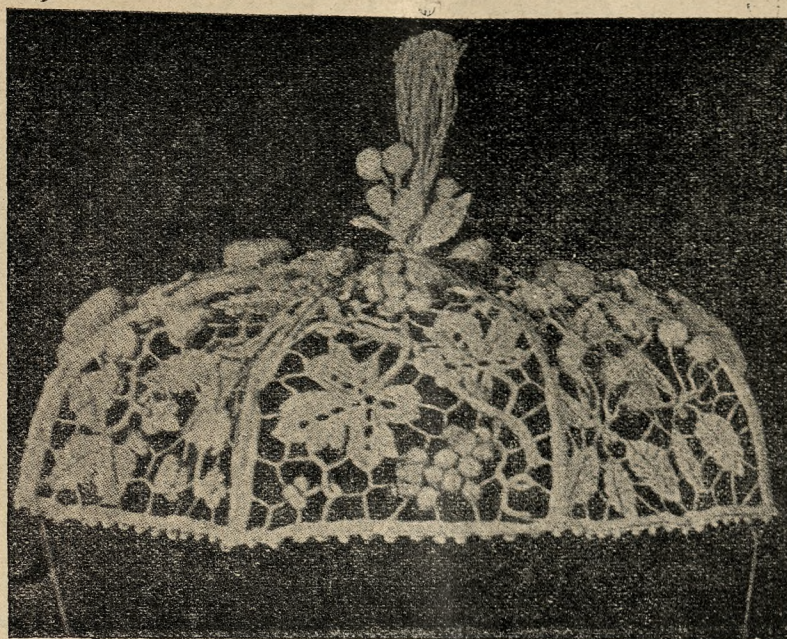
Andrea



ABAŻUR SZYDEŁKOWY

Abażur ten składa się z 8-miu klinów w powtarzające się motywy owocowe: winogrona, wiśnie, jabłka i truskawki, połączonych baretkami, robionymi igłą, a wykonanych szydełkiem. Tych ośm klinów złączonych tworzy plafonjerę. Kwaterka w wiśni robi się jak następuje: Zaczyna się od obrzeżenia, na które trzeba zrobić na podstawie łańcuszka z 299 oczek rząd półsłupków—zawróciwszy zrobić 14¹/₂ półsłupki,

opuścić jedno oczko, w następne 2 półsł. 2 ocz. powietrzne 1 półsł. w pierwsze pow. 2 półsł. w to samo oczko, co 2 poprzednie, dla sformowania szpica. W następne 114 oczek robić po jednym półsł. a w 115 oczku zrobić 2 półsł. przedzielone jednym pow. oczkiem w następnych 67 oczek po jednym półsłupku i 2 półsłupki przedzielone 1 pow. oczkiem w ostatnie oczko, nareszcie 1 ściśle oczko w pierwszy półsłupek, aby zamknąć obramowanie, zakończyć, przeciągając nitkę przez kilka półsłupków. Na wiśni zrobić 5 ocz. łańcusz. na których zrobić: 1 rząd po 1-ym półsł. w każde oczko łańcuszka, 2 rząd—2 półsł. w każde oczko poprzedniego rzędu; 3 rząd—na zmianę 1 półsł., 2 półsł.; 4-ty i 5 rząd—1 półsł. w każde oczko; 6 ty rząd—zaczynamy zmniejszać, omijając co 2 półsł. jedno oczko; 7-my rząd—opuszczać po 1 ocz. między każdym półsł., zakończyć jednym śc. ocz. w trzecie oczko. Doszedłszy do 6-go rzędu włożyć w wiśnię kulkę z waty dla wypchania jej. Na ogonek robi się 13 ocz. łań., 14 stem ściśłem przyczepiając korzonek do wiśni, opuścić pierw-



sze oczko i wracając robić po 1 śc. ocz. w każde następne 2 oczka. 9 ocz. łań. 1 śc. ocz. w drugą wiśnię. Kończąc nitkę wprowadzić do wewnątrz kulki. Liście składają się z rzędów półsł. zahaczanych o 2 nitki poprzednich oczek. Na dwóch ocz. łań. robi się rząd 1—1 półsł. w każde oczko. Rz. 2—2 półsł. w każdy poprzedni półsł. obrócić robiąc zawsze 1 łań. ocz. Rz. 3—2 półsł. w każde oczko obrót; 4, 5

i 6 ty rząd—2 półsłupki w pierwsze oczko i 1 półsł. w każde następne. Obrót, 1 ocz. łań. 7, 8 i 9 rząd—po 1 półsł. w każde oczko; 10, 11, 12 rząd opuszczać, pierwsze oczko aby zmniejszać o jedno każdy rząd.

13 rząd—opuścić pierwsze oczko i ściągnąć 2 ostatnie; 14 rz.—1 półsł. w drugie oczko i w dalszym ciągu robić. Na żyłki w listkach. 1 ocz. łań.

1 ocz. śc. w ostatni półsłupek—3 ocz. łań. 1 ocz. śc. w środkowy półsł. 11-go rzędu. 3 ocz. łań. 1 ocz. śc. w 7-my rząd—3 ocz. łań. 1 ocz. śc. w 3-ci rząd 2 ocz. łań. 1 ocz. ściśle w pierwsze oczko listka 6 ocz. łań. na korzonek i urwać nitkę. Na gałązkę na 4 ocz. łań. robić pętelkę z 3 półsł. po jednym w każde oczko, omijając jedno, następnie robić w kółko po 1 półsł. zahaczając o jedną nitkę oczka poprzedniego rzędu zakończyć gałązką robiąc kolejno 3 razy 2 ocz. łań. 1 ocz. śc. w nast. półsł. Gałązki powinny mieć na zmianę 25 i 17 c. długo. Ułożyć gałązkę podług wzoru, umoc. listki i wiśnie igłą, nast. umocowawszy wszystko na płóciennej kalce, lub jedwabiu—otoczyć obrzeż. i połączyć igłą ścięgami gipiurowymi.



Barometr spadł na całej linii. Zniżkowe nastroje krążą w atmosferze, tak niedawno wyłączonej słońcem pięknych dni letnich.

W nieładzie zwiezionych kufrow, w piętrzących się trudnościach rozdmuchania przygasłego przez czas naszej nieobecności, domowego ogniska, w trudzie oliwienia zastalych kółek i kółeczek maszyny dnia codziennego, gubi się słoneczność przeżyć, a szarzyzna deszczowych dni powleka całunem zniszczenia wspomnienia słoneczności tych, co minęły. Aż dziw, że spalone na bronz ramiona wczorajszej nimfy wodnej, ramiona, które tak miłośnicie pieścił rzeźki powiew wiatru od morza, drżą dzisiaj tęsknotą do ciepłego szlafroka.

Kolekcje prób nadeszłych z Anglii, które cieszą oko puszystą lekkością misternie tkanych i cudownie barwnych materiałów, zaostwiają nasz zimowy apetyt! Śnią się jakieś przytulne, ślicznie wymoszczone gniazda, miękkość których koi pięściwie zranione życiem serce rajskiego ptaka, co w harmonji i ciszy, zazdrośnie

SZLAFROKI

strzeżony tajemnicą zawartych podwoi leczy tęsknotę za błękitem.

Ale... w najczułowniejszej bajce doby dzisiejszej musi niestety być „ale“, za stubarwny pióropusz wyobraźni, co tak misternie i chętnie zamki na lodzie buduje, rzeczywistość chwyta zaborczą dłonią i miarowo, planowo, a skutecznie, odziera z niezdrowych szat, marzeniem tkanych.

Nie będziemy przyodziewały naszych przedwcześnie zmarzniętych kształtów w albiońskie tkaniny, bo słusznie i sprawiedliwie, wwozu im odmówiono, racjonalnie twierdząc, że głód barwnych szmatek i perspektywa zysku przy ich fabrykowaniu nauczą nas tkać u siebie równie piękne, lekkie, a ciepłe materiały, które dla Polek, w Polsce zrobione, zaważą dodatnio na szali zmniejszenia naszego nadmiernego importu.



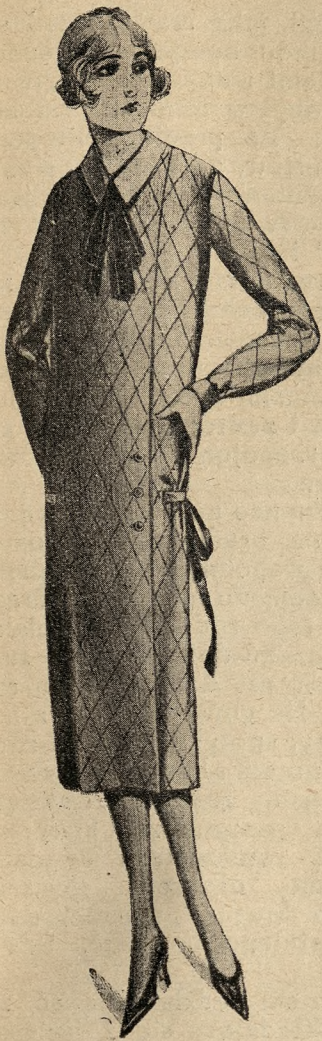
Szlafroczek ranny, skromny i prosty, może być wykonany z flaneli, a nawet barchanu, w kolorze odpornym na pranie, gdyż urok jego cały polegać będzie na zręcznej linii, doborze barw i świeżości.

Ten, który narzucamy na nocną koszulę, wprost z łóżka, winien być od góry do dołu rozpinany, luźny, związany sznurem lub wąskim paseczkiem, niezbyt otwarty z przodu, najładniej i najwygodniej wykończyć go kołnierzykiem szalowym w kolorze, dostosowanym do całości.

Najwykwintniejszy ciociąz mniej praktyczny szlafrok ranny, tak zwany „saut du lit“ jest biały, lub w nikłych jasnych cieniach utrzymany, z puszystego, włochatego materiału, wełną pirenejską zwanego. Przybiera go się zwykle morą, lub ry-psem i wiąże grubym, jedwabnym sznurem. Szlafroki tego typu niezależnie od mody, są zwykle gładkie, kroju prostego i nieskomplikowanego, a długości do kostek.

Znaną specjalnością wiedeńską są szlafroki pikowane, na edredonie. Robią je przeważnie z lekkich jedwabi



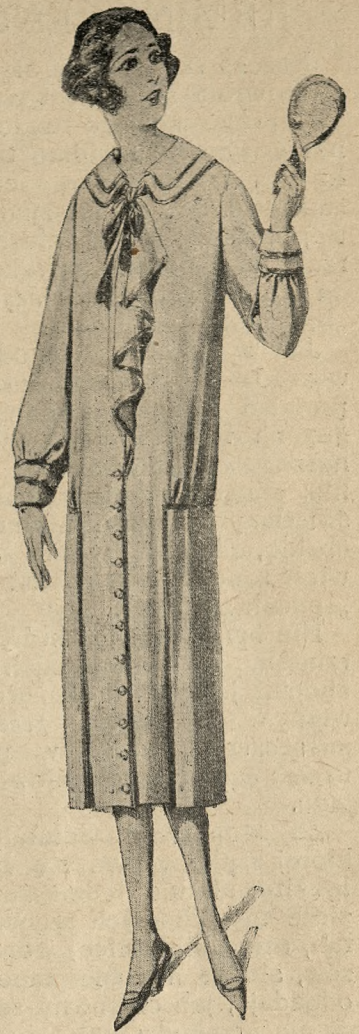


na bluzę jedwabną, zapiętą z lewego boku na rząd fantazyjnych, barwnych guziczków, lub wiązana z boków na kokardy.

Poza szlafrokiem czyli negliżem rannym, mamy jeszcze bogatą dziedzinę sukien domowych, t. z. robes d'intérieur, które dla kobiety, tak skromnie, jak i wykwintnie się ubierającej są niezbędne.

Szczególniej dzisiaj, kiedy coraz trudniejsze warunki materialne zmuszają nas do rozumnej i celowej oszczędności, pierwszą czynnością po powrocie z miasta, wizyty, czy teatru, winno być zmienienie strojnego i kosztownego ubrania na suknię domową, celem jak najdłuższego zachowania świeżości sukien i kostjumów. Niema nic gorszego nad chodzenie po domu w spódniczce od kostjumu, która gniecie się, plami i w następstwie różni od żakietu, rozbijając całość, mogącą służyć jeszcze czas dłuższy.

Suknią domową, skromną i praktyczną, winna jednak nosić na sobie cechę starania i dbałości o estetyczny wygląd, aby mogła w każdej domowej okoliczności stać na wysokości zadania, tak przy pracy, jak i w razie niespodziewanych odwiedzin, czy też po prostu w gronie rodzinnem, któremu pani domu nie powinna nigdy ukazywać się w stanie abnegacji i zanied-



wzorzystych i barwnych, podbite jednokolorowo. Strojnie i świetnie wyglądają też szlafroki aksamitne, na jednolite tło, których rzucone kwietne i żywe desenie pieczą oko niewysłowionym urokiem. Do szlafroków tych wyrabiają prześliczne pantofelki, mięciutkie, wybite pięknym jedwabiem i opatrzone podszwą z białej skórki rękawiczkowej. (Też specjalność wiedeńska).

W dziedzinie stroju rannego, najpoważniejsze miejsce, od dość dawna, zajmuje pyjama.

Kształt jej przechodził różne ewolucje, idąc krętą drogą niewieściego kaprysu i wyobraźni. Dzisiejsza pyjama zatracza linię, która zbliżała ją tak bardzo do pyjamy męskiej, składa się ona ze spodeniek, dyskretnie zamaskowanych długą, luź-



bania. Przy dzisiejszej modzie, która na pierwszy plan wysuwa kołnierzyki i lekkie żaboty nic łatwiejszego, jak ciemną, gładką i bardzo niedrogą sukienkę, ozdabiając zawsze świeżą koronką, czy batystem, zmienić w elegancką i wdzięczną dla oka.

Kto nie potrzebuje zakładać wlotów swojej fantazji w kajdany i nie zna, co to zależność od ściśle ograniczonego budżetu, ma w dziedzinie kreowania negliżu, sukien domowych i szlafroków niebywałe, pole do popisu. Koronki, jedwabie, futra, aksamity i marabuty, misterne węzły z barwnych wstążek, kokardy i pasy orientalne. Ale to wszystko nie dla nas! — Na ten zbytek importowany z zagranicy pozwolić sobie nie możemy. Broni nam tego karność obywatelska. W. D.

REMINISCENCJE

Jeszcze raz zawarły się za nami złote wrota swobody i słońca!

U progę nowego sezonu wita nas w tym roku widmo troski i kolo udręki, które coraz ciasniejsze zatacza kręgi, w takt znanej i łzawej piosenki, której refrain powtarza cała widownia, refrain, co składa się z dwóch zabójczych słów: „brak gotówki.“

Już w ostatnim tygodniu wyczasów, kiedy chwytałyśmy każdy promień słońca i zwodniczą jego grę na falach Bałtyku, w orbitę naszego oka, pieściwie i zazdrośnie, chcąc uskładać sobie skarb świetlany na szare i smutne dni, co idą, uderzyła w nas obuchem wieść, podawana z ust do ust: „spadek złotego“.

Nie było pociągu, który nie wyrzuciłby na nadmorskich stacjach chociaż jednego kruka, kruka o niewinnym wyglądzie przeciętnego mieszczaucha, który w powitalny uścisk sączył krople złowieszczonego jadu.

Ze słonecznej werandy, przez której szyby wlewa się bogactwo błękitu, ulatują jeden za drugim złote sny ubiegłych tygodni. Szum fali, szept stuletnich, wonnych lasów, słodka nirwana zapomnienia, odpadają, jak czarowny sen w godzinie przebudzenia.

Nadszedł czas. Trzeba przetrzeć brzemienne złudnem omamieniem źrenice i wstać na znojny dzień, bo... prześnił się sen. Rzeczywistość sięgnęła po nas zaborczą swą dłońią. Przeciawstawiamy jej wprawdzie wypoczęte ciało i nerwy, ukołysane harmonją dni, kąpanych w słońcu, a jednak widmo tych, co idą, lękiem nas przejmuję. I z błyskawiczną szybkością, przed oczami wyobraźni, wyciągają się szeregi drobnych, codziennych, uprzykrzonych i ciętych, jak osy, kłopotów, trosk i bezowocnych zabiegów, wśród których króluje, nigdy nie rozwiązany problem, związkiwania końca z końcem.

Kto spędził wywczasy letnie na wybrzeżu morskiem, wśród wspomnień świetlanych i rozkosznych, wywieść musiał przeświadczenie o ogromie trudu, jaki podjąć trzeba, aby z wybrzeża naszego i kąpielisk, które tak licznie na niem osiadły, zrobić coś na podobieństwo Europy.

To, co dały przyroda i natura, jest cudowne, to, co dał człowiek, przyznać trzeba niestety, nieudolne, niedbałe, marne, bez zrozumienia i uwzględnienia potrzeb i praw tych, którzy płacą drogie pieniądze za minimum otrzymywanych wygod i minimum zaspokojenia koniecznych potrzeb.

„Domy Kuracyjne“, pensjonaty i hotele, pozostawiają bardzo wiele do życzenia.

Pomieszczenie ciasne, pokoje umeblowane niżej wszelkiej krytyki, z niewygodnymi łózkami, z których wstaje się z wrazeniem ogólnego potłuczenia i przełamania. Meble obdrapane, podłogi wydeptane w fantazyjne i wzorzyste desenie, o uwzględnieniu potrzeb estetycznych, ani mowy. Tak otoczenie, jak i zachowanie tych, którzy je stworzyli, aby czerpać z nich poważne dochody, nosi wyraźne zabarwienie niezdrowego stosunku do osób, które, korzystając z tych miernych wartości, muszą za nie opłacać złotem.

Niejednokrotnie miałam wrażenie, że przebywam, nie w drogo opłacanym pensjonacie, a w pewnego rodzaju domu poprawczym, którego ostra reguła trzyma w ryzie mieszkańców. Ktoś n. p. prosi o samo mleko do podwieczorku, na co dostaje odpowiedź:

„Pan gospodarz nie pozwala podawać samego „mlik“, bo się kawa marnuje“ (autentyczne).

Pijesz więc biedny, zaprzędany niewolniku szarą polewkę, topiąc na jej dnie resztkę odporności, jaką wyratowałeś z otchłani bronzowego sosu, w którym pływa pieczeń cieleca, wieprzowa, barania, kurcze, ryba i wszelki dorobek kulinarnej pomorskiej wyobraźni.

Droga nad morze, autem z Poznania prowadzi przez Nakło, Kościerzynę, Kartuzy i Weyherowo. Jadąc, widzimy szmat ziemi, tak pięknej, o jakiej my, wychowani w Królestwie, nawet pojęcia nie mamy. Cudowne, bogate lasy, jeziora i góry zadrzewione, powietrze balsamiczne, drogi, wspaniale utrzymane, malownicze. Miasta, jak Kościerzyna, Kartuzy i Weyherowo, budowane wprost na leśnych polanach, otoczone wkrąg stuletnimi borami, są takim bogactwem klimatycznym, że nietylko nam wystarczyć, ale i obcych przyciągnąć powinny.

Nocleg w Kartuzach jest jednak dostateczną miarą dalekiej i uciąż-

żliwej drogi, jaką mamy przed sobą, aby móc korzystać z cudów polskiej ziemi i aby stosunki, tu panujące, pobyt w letniskach zrobiły możliwym. Po przejechaniu paru set kilometrów, zdrożeni i głodni, jak do wysnionego portu, dobijamy do jasno oświetlonego „pierwszorzędnego“ hotelu.

Z sali restauracyjnej, płyną napelniające otuchą dźwięki najmodniejszych tańców. Są wszelkie dane po temu, że wraz z modną melodją i tańcem dotarł tu powiew ze świata i zeuropeizował to cudowne, przepojone żywiczną wonią zacisze.

Prowadzą nas na pierwsze piętro, korytarzem brudnym, wyłożonym strzępami wspomnień o chodniku i wpuszczają do pokoju, którego stan jest tego rodzaju, że chciałoby się zgarnąć dokoła siebie suknię, aby się nie dotknąć ścian, czy sprzętów. Na gorący protest z naszej strony, spotykamy się ze zdziwieniem, potem oburzeniem, wreszcie dyskusja zostaje zamknięta odwrotem gospodarza, który za hałaśliwie zamkniętymi drzwiami daje ujście oburzeniu słowami: „Spało to dawniej porowach, a teraz wszystkiego im mało. Udają panów!“

Zbytecznym będzie dodawać, że kolacja, składająca się z jakiegoś niewyraźnego, wysuszonego ochłapa, była nie do przełknięcia, a wszystko razem, zaostrome wybitnym brakiem uprzejmości i najelementarniejszego pojęcia o obchodzeniu się z ludźmi, zostawia po sobie przygnębiające i wysoce zniechęcające wrażenie.

Jeżeli przytaczam te fakty, robię to jedynie w nadziei, że zorientowanie się w sytuacji i objęcie ogromu pola działania, jakie w tej dziedzinie otwiera się przed kobietami, może pchnąć wiele z nas na racjonalną, a tak bardzo pożyteczną drogę, dając pole do owocnej i intratnej pracy. W dziedzinie pensjonatów, jesteśmy tak dalecy od ideału, że każdy racjonalny i umiejętny wysiłek musi być nagrodzony pomyślnymi wynikami i spotka się z wdzięcznym poparciem ogółu.

Na całej rozciągłości polskiego wybrzeża, co krok prawie jest coś do zdziałania. Wiadomą jest rzeczą, że kąpiel, spacer i brak wszelkiego resursu w dziedzinie rozrywek, są najlepszymi sojusznikami wszelkich imprez gastronomicznych, a tych brak, lub też sposób prowadzenia ich, jest więcej, niż mało zadawalniający.

Najsilniejszym argumentem dla poparcia moich wywodów, niech będzie to, że między Gdańskiem, a półwyspem Hel kursuje niemiec-



ki statek „Paul Bennecke;“ który stojąc kilka godzin na Helu, wydaje doskonale obiady i swoim świetnie zaprowadzonym bufetem odbiera gości nieudolnym nadbrzeżnym imprezom. Obroty, jakie robi wspomniana restauracja, są tak poważne, że płacąc rządowi polskiemu 4000 zł. podatku miesięcznego, nie tylko wychodzi na swoim, ale inkasuje sułte zyski.

Brak przedewszystkiem dobrze i smacznie zaprowadzonej cukierni. W okresie upałów lody i wszelkie odświeżające napoje miałyby wielkie powodzenie. Sama plaża Orłowa, która gromadzi mieszkańców Orłowa, Redłowa i Małego Kacka; stałaby się pewną odbiorczynią, poważnie popartą przez liczne, zbiorowe wycieczki, tak często przybijające do cudownie zalesionego brzegu i marynarzy, stacjonujących tam okrętów wojennych.

Silnie daje się też odczuć brak prawdziwie dobrych obiadów. Wszystkie placówki są przy odrobinie inicjatywy do objęcia i wykorzystania, ku własnemu pożytkowi, a bezspornemu zadowoleniu i poparciu mieszkańców.

W Gdyni zapewnione powodzenie miałby sklep z kwiatami, którego brak dotkliwie daje się odczuć.

Wogóle Gdynia, gromadząc kwiaty gości kąpielowych ze swoją „Polską Rivierą“ i kasynem o zakroju europejskim, oraz szeregiem pięknych willi w sąsiadującej Kamiennej Górze, otwierając już dzisiaj triumfalnie swój pochód ku przyszłej niezaprzeczonej wielkości, jest terenem, wyczucie potrzeb którego może być podwaliną wielu warsztatów pracy.

Temat ten poruszam pod światłem wrażenia braków, które pod wpływem uroku bytowania w ciągłym kontakcie z cudami natury i słoneczności, jaką daje beztrudki nastrój, bezwzględnie maleją, zresztą, przyzwyczajając się można do wszystkiego, więc i tam, to co raz w początkach jaskrawo, zaciera się z czasem.

Dlaczegoż jednak te z nas, które nie mogą sobie pozwolić na bezczynne pławienie się w błękitach, nie miałyby podjąć wielkiego dzieła, wniesienia światła w mrok mieszkaniowych i odżywczych stosunków naszej plaży?

Napływ gości kąpielowych, zwiększający się z każdym rokiem, zapewni racjonalnie pomyślanym i sumiennie prowadzonym placówkom nie tylko poważny dorobek materialny, ale i radosną wdzięczność gości.

N...ka

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

NAJNOWSZE UWAGI PIELEGNACJI SKÓRY.

Co należy czynić, by mieć piękną cerę?

Problem, który zajmuje umysły kobiece, bez względu na wiek, urodę i wykształcenie!

Problem istotny, bo ładna cera jest pierwszym warunkiem urody kobiecej! Nie możemy uważać za piękną osoby, która przy klasycznych nawet rysach i przepięknych liniach, ma twarz bladą z żółtawym odcieniem, pełną krost, plam, piegów lub zmarszczek! A odwrotnie osoba nawet o nieregularnych rysach i mniej kształtna może uchodzić za piękną, gdy ma świeżą skórę, gładką, z ładnym zebarwieniem!

Pierwszym warunkiem cery dobrej jest zdrowie, drugim czystość, trzecim odpowiedni tryb życia i warunki życiowe normalne, na czwartym miejscu, postawić należy stosowanie pewnych racjonalnych zabiegów, opartych na zasadzie kosmetyki leczniczej!

Zacznijmy od zdrowia. Nowoczesna higiena uczy nas, że należy nie tylko unikać, co zdrowiu szkodzi, lecz przedewszystkiem podnieść odporność ustroju na czynniki szkodliwe i starać się hartować systematycznie od najmłodszejszego wieku.

Wszelkie wydelikacenia się, brak zahartowania zmniejsza siłę odporności wrodzonej i nabytej każdego organizmu, odbijając się fatalnie na zdrowiu.

Siła odporności organizmu ludzkiego jest to najwyższy skarb, dany nam przez naturę! Tem się tłumaczy, że w tych samych warunkach jeden organizm zachorował na jakąś chorobę np. tyfus, drugi zaś nie.

Cóż ma czynić niewiasta dojrziała, która dotychczas się nie hartowała? Taka jednostka, chociaż w wieku późniejszym, hartować się musi, jednak należy przedtem poddać ocenie lekarskiej swój stan zdrowia.

Po skontrolowaniu i przekonaniu się, że nie ma żadnej wady organicznej, można rozpocząć jednak bardzo ostrożnie i powoli. Nigdy podczas jesieni i zimy, natomiast wiosną, a zwłaszcza lato, ogromnie się nadają na rozpoczęcie okresu hartowania!

Bardzo ważnym czynnikiem dla organizmu ludzkiego jest wpływ światła i słońca. Światło, konieczne do życia ustroju, przez skórę jest filtrowane do organizmu, a pro-

mienie szkodliwe dla ustroju poza fioletowe, skóra jak gdyby odrzuca od siebie.

Promieni tych jednak może być taka mnogość, że parzą skórę na zewnątrz, tworząc bąble i zacerwienia, na wewnątrz zaś dają objawy zatrucia w postaci bólu głowy i innych przykrych dolegliwości.

Dlatego też korzystanie ze słońca musi być czynione bardzo ostrożnie i bardzo indywidualnie. Są organizmy, które poprostu nie znoszą silnych promieni słońca, a wtedy należy wybierać jedynie półcienie. Koniecznym więc warunkiem zdrowia jest hartowanie się, przedewszystkiem kąpielami słonecznymi lub też powietrznymi.

Najlepsza jest metoda kombinowania powietrza ze słońcem—słoneczne kąpiele rozpocząć należy od 5 minut, a zdrowy i silny organizm doprowadzić można do paru godzin.

W ostateczności można kąpiel powietrzno-słoneczną urządzić w mieszkaniu, lepiej jednak na świeżym powietrzu, bo w grę tu wchodzi ruch powietrza, niezwykle dobrze oddziałujący na skórę—w razie jeśli kąpiele powietrzne lub słoneczne są niedostępne z tych lub owych powodów, bardzo wskazane jest wycieranie się na noc suchą rękawiczką, uszytą z grubego, lnianego płótna.

Takie wycieranie się suche całego organizmu świetnie wpływa na nerwy, doskonale hartuje, przyspiesza wydzielanie się przez skórę, wygładza ją i tem samym doskonale wpływa na samopoczucie i na ogólny wygląd. Ogólne zdrowie ustroju jest przecież pierwszym warunkiem pięknej i zdrowej cery.

Przy stosowaniu kąpeli słonecznych skóra się opala w większym lub mniejszym stopniu—zależy to od promieni słońca i indywidualności skóry. Opalanie się jest niewątpliwie bardzo zdrowe, jeśli chodzi o higienę, natomiast z punktu widzenia estetyki, stanowczo protestowałabym przeciwko opalaniu się bez uwzględnienia indywidualnego wyglądu danej twarzy. Są osoby, które tak brzydko i nieestetycznie wyglądają po opaleniu, że poprostu nie miałabym odwagi namawiać na opalanie się. Ogólnie powiedzieć można, że wszystkie brunetki, zwłaszcza z niebieskimi oczami, prawie wszystkie szatynki, wyjątkowo blondynki powinny się opalać i to równomiernie i intensywnie! Osoby, które mają skłonność do piegów i podrażnień skóry lub do nierównomiernego, plackowatego opalania się powinny używać jedynie równie zdrowych kąpeli powietrznych.

Czy używać kremu lub tłuszczów podczas opalania się? mojem zdaniem konieczne, gdyż przy działaniu promieni słonecznych, skóra zbyt szybko się odtłuszcza, powstają spierzchnięcia i nierównomierne plamy na twarzy i spalonych miejscach.

Wracając do zdrowia ustroju, zdrowie całego organizmu odgrywa olbrzymią rolę w ogólnym wyglądzie kobiety.

Wszelkie stany psychiczne, okresy pokwitania i przekwitania, ciąża, zaburzenia w miesiączkowaniu, choroby kobiece, nienormalne zaspakajanie życia płciowego, zwłaszcza samogwałty fatalnie odbijają się w pierwszym rzędzie na cerze kobiety.

Młode nieraz istoty, cierpiące na anemię, choroby przewodu pokarmowego, już to katary żołądka, kiszek, nawykowe zaparcie stolca, nerki, wątrobę i śledzionę, choroby przewodu oddechowego, zaburzenia w gruczołach o zewnętrznym wydzieleniu, choroby infekcyjne ostre i chroniczne, jak np. choroby płciowe silnie wyniszczają organizm, nadają nawet młodym stworzeniom wygląd zawiedły, cerę żółtą, pomarszczoną, osianą plamami i krostami. Dbanie o zdrowie jest jednocześnie dbaniem o świeży i ładny wygląd.

Przy schorzeniach wyżej wymienionych, jak najwcześniej trzeba udać się do lekarza specjalisty, nie dopuszczając do rozwoju chronicznego cierpienia.

Jak często obrzmienie powiek tak zw. worki pod oczami mają przyczynę w chorobie nerek lub serca.

Na nic tu różne kremy cudowne i patentowane środki, jeśli przyczyna leży w głębi organizmu chorego.

Należy więc jak najszybciej usunąć przyczynę, a dopiero potem leczyć cerę.

Ogólnie powiedzieć można, że niema cery realnie dobrej, każda, nawet najpiękniejsza wymaga pewnej niewielkiej, ale jednak stałej i racjonalnej pielęgnacji, tak jak przeczarna kobieta conajmniej raz do roku przy zdrowych zębach, częściej przy słabszych musi odwiedzić dentystę, tak samo co najmniej w tych granicach powinna być u lekarza kosmetyka z za-



pytaniem i troską o swą, nawet zupełnie pozornie dobrą cerę.

Drugim warunkiem pięknej cery jest czystość!

Jeśli kobieta chce mieć piękną cerę, musi się kąpać przynajmniej raz na tydzień w ciepłej wodzie, a zmywać się przynajmniej raz na dzień od stóp do głów.

Czy należy robić wewnętrzne przemywanie?

Jest to sporny punkt, dotychczas jeszcze nie rozstrzygnięty między samymi lekarzami. Są szkoły dawniejsze, zwłaszcza wśród ginekologów, które uważają za dostateczne kąpiel ogólną, podając za przykład kobiety z ludu pracującego, które nigdy przemywań wewnętrznych nie robią, a są zdrowe.

Moim zdaniem twierdzenie to nie wytrzymuje krytyki. Znamy zbyt dobrze, chociażby przez powonienie zapach słodko-kwaśny, otaczający taką niehigienicznie utrzymującą się kobietę. Uważam wewnętrzne przepłukiwanie się za poprostu pierwszy warunek higieniczno-estetycznego życia, zwłaszcza dla kobiet żyjących płciowo.

Polecałabym konieczne przepłukiwanie się 2—3 dni po menses i za każdym stosunkiem płciowym łyżeczką soli kuchennej na litr letniej, przegotowanej wody.

Myszę o zdrowych i normalnych kobietach. — Poza tym zwróciłabym uwagę na utrzymywanie czyste irigatora, każdorazowe przepłukiwanie gorącą wodą ze sublimatem, kanki natomiast wygotowanie każdorazowe. Nigdy nie należy pożyczyc sobie nawzajem kanki, nawet przy gotowaniu, gdyż można nawzajem udzielić sobie najstraszniejszych chorób płciowych. Mia-

łam osobiście przypadek pani, zarażonej przez wspólne używanie kanki ze służącą. Poza tym irigator musi stale znajdować się w pochewce płóciowej, często zmienianej. Przy wszelkich nienormalnościach upławach i dolegliwościach u kobiet, nawet nie żyjących płciowo, należy jednak stosować przepłukiwania wraz ze specjalnym leczeniem, wskazanym przez specjalistę.

Wracając do cery, potrzeba uświadomić sobie, czy może być cera ładna u kobiety, która myje twarz i ręce tylko raz na dzień, a szyję i nogi raz na tydzień, kąpie się raz na parę miesięcy.

Na to, by cera była dobra, organizm musi oddychać nie tylko płucami, lecz także skórą. W najnowszych czasach zostało wyjaśnione, jak olbrzymią rolę w organizmie ludzkim ma skóra.

Żeby zrozumieć i ocenić zadania skóry, musimy zaznajomić się w najpopularniejszym i najogólniejszym tego słowa znaczeniu z anatomją skóry.

Skóra jest to powłoka całego organizmu, żywa, na wpływy zewnętrzne bardzo wrażliwa, bodźce świata zewnętrznego przetwarza więc i przerabia na swój sposób. Skóra więc zatem ma zasadniczo 5 zadań, stwierdzonych i uzasadnionych naukowo:

- I osłaniające
- II wydzielnicze
- III regulujące ciepło
- IV czynności czuciowe
- V chłonne

Badając skórę pod mikroskopem, rozróżniamy 3 warstwy:

- 1) Naskórek
- 2) Skóra właściwa
- 3) Tkanka podskórna

W naskórku rozróżniamy rozmaite warstwy, najżywniejsze, które leżą najbliżej właściwej skóry.

Naskórek składa się z rozmaitego rodzaju komórek tak zw. warstwa rozrodcza, ona zarazem jest podstawą dla innych warstw, dlatego też nazwano ją warstwą podstawową. Komórki te przez zdolność rozrodczą, gromadzą barwik skóry. Od ilości tego barwika i jego rozłożenia zależy barwa skóry. Te same komórki ze względu na swój kształt, mają jeszcze trzecią nazwę komórek cylindrycznych. (d. c. n.)

Dr. Julja Świtalska



WYTWÓRCZOŚĆ KOBIECA NA TAR- GACH WSCHODNICH

Lwów, we wrześniu.

Po ciągłych, ulewnych deszczach rozjaśnił się wreszcie horyzont, jesienią pogoda sprzyja Targom, promienie słońca ogrzewają liczne kwietniki ponsowych kwiatów. Ruch tutaj niezwykle. Wóz tramwaju „T” zawsze zapełniony, spieszy do bram Targów. Liczne powozy i automobile spieszą z gośćmi na wystawę.

Na placu przygrywa kilka orkiestr. Orkierstra Braci Alberta w strojach narodowych krakowskich, u konfederatek powiewają pawie piórka, zbiera liczne oklaski.

Oglądając obszerny Pałac Sztuki mamy sposobność podziwiać produktywny dział wytwórczości kobiecej. Piękna jest wystawa prac placówki polskiej na Wołyniu w Dubnie. Internat utrzymywany przez sejmik, ochronka Sióstr Opatrzności Bożej Św. Teresy, 7 dziewczątek, 4 koronkarki i 3 hafciarki wykonuje prawdziwie artystyczne roboty ręczne, które były już na wystawie w Poznaniu i w Warszawie. Siostra ma zamiar je wysłać też na wystawę do Fildelfji.

Koronki prawdziwe hiszpańskie, Orzeł Polski point al'aiguille, pasy polskie, haftowane złotem, bielizna batystowa w kolorach pastelowych z inkrustacją prawdziwych koronek, point lace. Na białej duchesse hafty złotem i kamieniami. Roboty te wykonują dziewczątka artystycznie pod kierunkiem Siostry. Siostra zakupiła już ziemię koło Kowla, ale brak funduszy, by wybudować tam ochronkę i przyjąć nauczycielkę, która posiada studja w szkole malarstwa.

Idąc dalej, zwraca moją uwagę zdobnictwo malarskie i sztuka stosowana (Piotrowski Lwów). Pani Zagórska, uczenica prof. Mehoffera w Krakowie, maluje szale, makaty, toalety, ekrany we wzorach chińskich i japońskich, szale ozdabia farbami przezroczystymi.

Wystawa artystyczna robót ręcznych firanek firmy Lipschütz i Weitz w Krakowie wykonana na markizecie szwajcarskiej opalu, tussor, firanki klockowe i koronkowe, a portjery na tle „Madras”.

Pracownia dywanów Wschodnich p. Goreckiej w Śniatynie wykonuje kilimy i portjery wedle wzorów artystycznych.

Szkoła oraz wytwórnia batików i sztuki stosowanej p. Pollak we Lwowie wykonuje makaty, batiki,

rzeźbę w drzewie, wyroby intarso malowane, ozdobione metaloplastyką, torebki wytłaczane w skórce.

Wielką atrakcją dla zwiedzających stanowi wystawa Rosji Sowieckiej, która po raz pierwszy występuje na Targach Wschodnich. Efektownie przybrana festonami w kolorach czerwonych i kwiatami ponsowemi. Z Rosji Centralnej z Moskwy i Niżnego Nowogrodu jest tutaj sztuka ludowa, hafty, wyroby z drzewa i zabawki.

Jest to już tradycja u ludu — iż cała rodzina pracuje w tym fachu. Małe dziewczątka wyrabiają małe zabawki, dorośli większe przedmioty zabawkarstwa. Od czasu wojny wyrabiają 3 razy tyle niż przedtem. Całe kolonje zarabiają malowaniem zabawek, lub haftują bieliznę. Cała wystawa Sowiecka jest rządowa.

Przechodząc dalej, widzimy wyroby siatkowe, siateczki jedwabne na głowę, siatki służące do zakupów, hamaki etc. Wyrób koszykarski „Eru” z Śląska — w Czechowicach fabrykują koszyczki, maszyna odrzuca wstęgi z drzewa, które się wyplata i farbuje w różnych kolorach aniliną. Kobiety na Śląsku wyplatają te koszyczki, często też ozdobione malowidłem. Koszyczki w różnych wielkościach, i kolorach służą na owoce, kwiaty, włóczkę etc. Atelier p. Wilter i Fall ma ładną wystawę poduszek haftowanych, robót filet, piesków „Pintsch” z białej włóczki, gobelinu, tablecików i bielizny wytwornej, batystowej. Wystawa Sekcji francuskiej obejmuje przepiękne materje we wzory i kwiaty z Paryża, wytworną bieliznę batystową w kolorach pastelowych z koronkowemi wstawkami, kombinacje, jedwabne pończochy etc. Szale malowane, roboty ręczne, poduszczyki z włóczki „Coussin” kwadraty aksamitne z aplikacją.

Pawilony są tak liczne i wystawa tak obfita, że potrzeba kilka dni, by oglądnąć wszystko.

Dział wytwórczości kobiecej daje obraz intensywnej pracy, fantazji i gustu estetycznego mimo ciężkiego kryzysu gospodarczego, który kraj nasz przeżywa, daje obraz produkcji nadzwyczajnej tak, że i zagraniczni goście nie szczędzą słów uznania i pochwał. Jesienne dożynki naszego dorobku przemysłowego stają się z każdym rokiem wspanialsze i piękniejsze i nabierają szerszego lotu w świetną przyszłość.

Rena Gl.



KOBIETA CZY KWIAT?

Bogaty, stylowy salon oświetlony, a giorno i wysłany puchem perskiego dywanu, śnieżna biel firanek kilkakrotnie odbita w kryształowych taflach luster, wykwiintna uprzejmość gospodarzy — i nieliczne grono wybranych, którzy za chwilę mają ujrzeć cuda... ostatnie kreacje kapryśnej Królowej Mody.

Nastrój conajmniej nie powojenny — Warszawa to, czy Paryż? Bo oto szereg uroczych postaci niewieścich, barwnych i strojnych staje przed nami, a każda jakgdyby uosobienie kwiatu. Tu płatki róż, miękkie i delikatne, obrzeżone perłkami rosy i misternie w girlandy ułożone, tworzą lekką, powiewną, balową szatę, tam ze złocistego kielicha, szytego paljetami, wykwiita bogaty, różowy kwiat o fantazyjnych płatkach z georgett'y, tu znowu suknia, cała od bioder ku dołowi przybrana wydłużonemi liśćmi bzu, wielokrotnie powiększonemi i ułożonemi z plisowanego crêpe de chine'u, przyciśniętego w środku wążutką pliseczką nakształt żyłki w liściu, albo rozszyta kloszowemi, wyciętymi w zęby klinami z georgett'y, które przypominają płatki bławatka zwrócone ku dołowi.

Dziwnie jest dużo z kwiatu w tych strojach balowych i wieczorowych, ale że kwiat bogaty i fantazyjny łatwo mrozą wichry północy więc, aby go ustrzec od zimna, pokazano nam bogate płaszcze balowe szyte z wąskich pasków gronostaj, lub drapowane z ponsowego aksamitu i wykwiintne palta futrzane, fokowe, krecie, okładane odmiennem futrem, ciepłe i lekkie zarazem.

Ostatnią nowością sezonu, jest futro antylopy, gładkie, krótko strzyżone, koloru kawowego, drukowane w ciemniejsze desenie, fantazyjne pasy, lub centki na wzór pantery. Robią z niego całe palta, lub przybierają niem suknie i kostjummy.

A linja? Stan po dawnemu pozostał dość nisko, ale i suknie i futra i okrycia na linji bioder rozszerzają się wyraźnie ku dołowi.

Klosze, klosze, klosze, we wszystkich odmianach i fantazjach, a wszystko tak krótkie, że zaledwie osłania kolana, od góry zato mało wycięte i rękawy przeważnie długie, opadające aż na dłonie....

Za wielkimi lustrzanemi szybami słychać nawoływanie gazeciarzy i plusk deszczu, deszczu polskiej jesieni. Więc to nie Paryż! — To zasłużona i jedna z najstarszych firm naszych „BOGUSŁAW HERSE” pokazała nam ostatnie swe kreacje. Idźcie obejrzeć, bo warto!

GRUNTOWNE PORZĄDKI

Tak w mieście jak na wsi, przynajmniej dwa razy do roku, przed zimą i po zimie całe mieszkanie powinno być uporządkowane od strychów aż do piwnic i wszelkie uszkodzenia wyreperowane. Takie porządki są bardzo uciążliwe, trwanie ich zależy od wielkości mieszkania, umiejętności rozłożenia pracy, która przedewszystkiem nie powinna domownikom przeszkadzać w ich codziennych zajęciach, ani wytrącać ich z równowagi, a także od posiadanych pomocniczych przyrządów. Kto ma elektryczną maszynę do wysysania kurzu ze wszystkiego — dla tego zabawką są „wielkie porządki” ale że tę maszynę wkrótce napewno nieodzowną jak obecnie oświetlenie elektryczne, mała kto jeszcze posiada, a kurz mają wszyscy — postaramy się zrobić porządki po dawnemu i przedewszystkiem otworzymy okna w pokoju, od którego zaczniemy.

Pozdejmowawszy firanki i portjery, wytrzepiemy je na dworze — jeśli brudne, odepniemy do prania — ramy powycieramy — ze ścian zdejmiemy lustra i obrazy, postawimy je w miejscu bezpiecznym, obrócone szkłem do ściany.

Dywany i lżejsze, wyściełane zwłaszcza meble — wyniesiemy na dwór dla drobiazgowego odkurzenia, cięższe odsunawszy od ścian, okryjemy prześcieradłami i opróżniwszy pokój zabierzemy się najprzód do pieców, które przed zimą powinny być gruntownie wewnątrz oczyszczone w kanałach z sadzy i wylepione gęsto rozrobioną gliną. Dobrze utrzymany piec, wielką stanowi oszczędność w budżecie domowym — zużywając mniej opału, lepiej ogrzewa. Do tej roboty bierze się zwykle zduna, jeżeli jednak ktoś nie ma na extra wydatki, przy dobrej woli, można i samemu zrobić. Skończywszy z piecami wewnątrz — umyjemy starannie kafle — szpary między nimi pomalujemy wapnem z wodą, a drzwiczki uczernimy proszkiem grafitu, rozrobionym piwem ze spirytusem z dodaniem jednego białka, aby po wyschnięciu uniknąć pyłu przy szczotkowaniu ryżową szczotką dla nadania połysku drzewcom.

Następnie zabieramy się do ścian i sufitów, które odkurzamy za pomocą, szczotki do zamiatania, owiniętej w czystą, flanelową ścierkę. Sufity, jeśli pomimo wytarcia pozostaną brudne, trzeba pomalować kredą, rozpuszczoną w mleku, obicia poplamione wytrzeć czerstwym chlebem, a malowane olejno ściany

wyszorować wodą z sodą i mydłem. Dziury pozostałe w drewnianych ścianach po hakach i gwoździach szczelnie zalepić kitem od wprawiania szyb — w murowanych gipsiem, rozrobionym z wodą — bo w nich gnieździ się wszelakie robactwo, gwoździe i haki, które wylatują z murów, wyjąć, lekko owinąć watą, zanurzyć w gęstym gipsie i wbić w poprzednie miejsca, a będą siedziały jak wmurowane.

Po skończeniu ze ścianami zabieramy się do podłóg, które jeśli zawsze czysto utrzymane, nie potrzebują mycia, wystarczy ściągnąć kurz wilgotną ścierką, a po wyschnięciu natrzeć pastą, lub domową zaprawą, przygotowaną z wosku z benzyną, wyfroterować szczotkami i wycierać płatami sukienkami. Podłogi malowane olejno łatwiej się brudzą — trzeba je czysto zmyć i polakierować w następujący sposób: Do ¼ litra oleju lnianego wbić 2 białka, dobrze rozkłócić i kawałkiem flaneli nacierać, a po wyschnięciu podłoga będzie jak nowa; zwyczajne, białe podłogi szoruje się wodą letnią, (gorąca za prędko wsiąka w drzewo) z domieszką ługu z popiołu drzewnego, od którego doskonale puszczają brud i plamy. Po umyciu podłóg, przez czas ich schnięcia, zajmujemy się pościelą, która, wyniesiona na słońce, często powinna być obracana, wytrzepana i oczyszczona należycie. Materace sprężynowe z wierzchu porządnie wybite trzepaczką — ze spodu muszą być starannie oczyszczone z kurzu za pomocą miotelki i ściereki.

Biblioteki, półki z książkami i nutami, drobiazgowo trzeba oczyścić, nigdzie bowiem tak bardzo jak w nich kurz się nie gromadzi.

Wszelkie przedmioty ozdobne ze szkła i porcelany, jak wazony, figurki i t. p. trzeba obmyć w letniej wodzie, szczotką z mydłem i delikatnie osuszyć miękką ściereczką. Ta czynność należy do samej pani, sługi bowiem nie doceniają wartości drobiazgów nie raz bardzo kosztownych i, lekceważąc je, najczęściej uszkodzą.

Przedmioty z brązu najlepiej czyścić utartymi na tarce surowymi kartoflami, które smaruje się dany przedmiot, a po wyschnięciu czyści szczotką i dosusza flanelą.

Srebrne i platerowane rzeczy czyści się miękką szczoteczką kredą, zarobioną spirytusem, wycierając do sucha zamszową skórką, którą po zbrudzeniu trzeba wyprać w zaledwie letniej wodzie z mydłem; od gorącej kurczy się i twardnieje, czysto wypraną jeszcze raz namydlić i powiesić z mydłem do

wyschnięcia, a będzie miękka, jak nowa.

Lustra trzeba myć kredą ze spirytusem, lub z wilgotnym popiołem z papierosów, zawierającym w sobie dużo potażu, a więc rozpuszczającym brud, a że jest bardzo miałki, nie rysuje szkła.

Zapstrzone przez muchy meble, ramy, a nawet obrazy olejne doskonale zmywają się sokiem z utartej cebuli, precedzonej przez gęsty muślin.

Z ram złożonych zmywa się brud zapomocą zwilżenia octem winnym, a następnie spłukania zimną wodą, która osusza się w umiarkowanym ciepłe.

Starte, złożone, drewniane ramy przemalowywa się żółtą, olejną farbą i przed wyschnięciem posypuje złotym proszkiem, kupowanym w składach farb.

Okna, których ramy i futryny starannie wymyto wodą z mydłem, powinny szczelnie zamykać się; w lecie dla kurzu, w zimie dla ciepła. W tym celu szpary w futrynach oblepić trzeba paskami sukna, których z łatwością dostanie u krawców pod nazwą krajki. Drzwi tak samo oczyszczone, również powinny pasować.

Klamki czyści się zapomocą kredy, rozrobionej wodą ze spirytusem lub amoniakiem, uważając, żeby przy czyszczeniu klamek nie powalać drzwi. Dla uniknięcia tego najlepiej wykroić z tektury formę, doskonale dopasowaną do mosiężnych okuć drzwi i okien. Przy każdym czyszczeniu nakładać je, a robota będzie o wiele szybsza i porządniejsza.

Zawiasy należy posmarować oliwą, aby nie drażniły ucha niemożliwym skrzypieniem.

Dla nadania połysku meblom, trzeba przetrzeć drzewo spirytusem, zmieszonym z jedną czwartą oliwy i wytrzeć do sucha flanelą.

Matowe meble pociąga się woskiem, rozpuszczonym w benzynie i mocno szczotkuje.

Obite pluszem lub dywanowym materiałem meble, odświeża się wilgotną szczotką, maczaną w salmiaku po połowie z wodą. Wyblakłym kolorom amoniak przywraca świeżość barwy.

Dywany po wytrzepaniu dokładnie — jeżeli brudne i poplamione, uprać można w sposób następujący: rozgotować kawałek żółciowego mydła w dwóch litrach miękkiej wody. Gdy przestygnie, dolać 4 łyżki amoniaku i wsypać 2 łyżki soli, żeby kolory nie puszczały. Rozłożyć dywan na podłodze, nacierać go szczotką tak, aby zbytnio nie zamoczyć; mydło spłukać gąbką, maczaną w zimnej wodzie i wytrzeć czystą ścierką. Roz-

łożyć dopiero, jak zupełnie wyschnie; inaczej bowiem zamiast uprać — zabrudziłby się. Jeżeli dywan kosztowny, posypać go trocinami drzewnymi, umoczonemi w benzynie, wycierać niemi mocno dywan szczotką, aż do suchości, potem wytrzeć i czyścić z trocin.

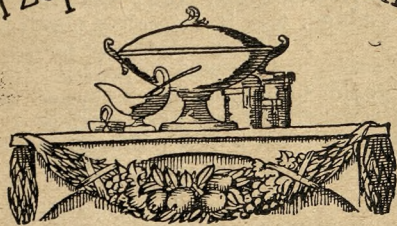
Skończywszy gruntowne sprzątanie, wyprzątnąć szafy, komody i kufry — wytrzeć je wilgotną ściereką z kurzu, a następnie natrzeć terpentyną francuską. Ubrania, bieliznę i obuwie przejrzeć i przesortować. Co zniszczone lub z jakichkolwiek względów nieużyteczne sprzedać, darować lub wyrzucić, aby niepotrzebnymi gratami nie zaprzętać kątów i nie tworzyć zbiorników kurzu i gniazd dla moli. To samo zrobić z zepsutemi i połamanemi naczyniami, które nie dadzą się naprawić. W mieszkaniu powinny znajdować się jedynie rzeczy, służące do rzeczywistych potrzeb, przyjemności lub ozdoby i wszystko powinno mieć, o ile możliwe, wygląd nowy i czysty.

Po przejrzaniu, wytrzeć i wywietrzeniu ubrań, trzeba na wiosnę pochować do kufrów zimowe, a na jesieni letnie rzeczy, zostawiając szafy do codziennego użytku. Uporawszy się z mieszkaniem, trzeba pomyśleć o spiżarni i piwnicy.

W spiżarni poszorować półki, usunąć zbyteczne puste słoiki i butelki, przejrzeć pełne, czy się nie psują. Piwnicę uporządkować, usunąć resztki zepsutych jarzyn i wypalić siarkę dla zniszczenia wytwarzającej się pleśni i zgniłych wyziewów.

J. S.

Przepisy gospodarskie



RYDZE SOLONE

Rydze zdrowe, najlepiej borowe, odznaczające się grubością i jędrnością, otrzeć starannie wilgotną ściereczką z mchu i ziemi (nie myjąc ich wcale).

Faskę drewnianą, doskonale wyparzoną, posypać po dnie solą, paru listkami i kilku ziarnkami pieprzu. Rydze układać, jak rosna, to jest korzonkiem do dołu, co kilka rydzów przesypując solą i ziarnkami pieprzu.

Gdy faska pełna, położyć znów parę listków, położyć na to kawa-

łek czystego płótna, drewniane denko i przycisnąć kamieniem. Po dniach kilku rydze się uleżą, należy faskę dołożyć świeżemi, zawsze co kilka rydzów soląc je lekko. Powtarza się to po kilka razy, aż się faska napełni ostatecznie. Nakłada się wtedy cięższe kamienie i faskę stawia się w suchej, chłodnej spiżarni, w zimie co kilka tygodni należy przepłukać płótno, osuszyć deneczko i otrzeć czystą ściereczką brzegi faski.

Można soląc rydze kłaść między nie plastry białej cebuli — zmniejsza to jednak znacznie ich trwałość. Kto lubi cebulę, może lepiej ją dodać, podając rydze na przekąskę.

Tak przyrządzone rydze dają się zimą użyć jak świeże. W tym celu moczy się je przez dwanaście godzin w zimnej wodzie, poczem smaży do zrumienienia w maśle z cebulką.

RYDZE W OLIWIE DO WÓDKI

Młode, świeże, nieduże rydze obetrzeć starannie płótnem, poucinać im krótko korzonki. Do litrowego słoika nalać na trzy palce najlepszej oliwy. Mieć sól uprażoną na patelni i mialko utłuczoną, dosypać do niej piątą część pieprzu tłuczonego po połowie z zieleniem i nieco utartego majeranku. Na oliwę kładzie się rzędami rydze, jak rosna, to jest korzonkami do dołu.

Co trzy, cztery rzędy przesypuje się je solą z korzeniami. Układać bardzo szczelnie, uciskając nawet. Gdy słoik pełny, położyć suche denko i przycisnąć kamieniem. Po kilku dniach, gdy się rydze uleżą, dołożyć świeżemi, powtarzając to, aż się słoik zupełnie wypełni. Uważać, aby je oliwa pokrywała. Przykryć krążkiem pergaminu, zawiązać słoik pergaminem i trzymać w suchem, chłodnym miejscu.

STAROŚWIECKI SPOSÓB MARYNOWANIA RYDZÓW

Małe, zdrowe rydze opłókać w zimnej wodzie i osączyć dobrze na durszlaku. Ułożyć je w rondlu, przekładając krajaną w plastry cebulą, pieprzem, solą, listkiem i kilku goździkami, postawić na wolnym ogniu i dusić pod pokrywą, aż cebula zmięknie. Mięszać rydzów nie należy, a tylko często potrzasać rondel, aby do dna nie przystały.

Gdy cebula zmięknie, wlewa się do rondla dobrego octu tyle, aby je objął i dusi razem jeszcze

pięć minut. Po zdjęciu z ognia rydze się wyjmują z marynaty, stłuzki na przetaku, układa w słoje i zalewa najlepszą oliwą.

Takie rydze są wyborne i doskonale się konserwują. Cebula z korzeniami i octem nie powinna być wyrzucana, należy ją ułożyć do słoja lub garnka i trzymać na chłodzie. Przez miesiąc lub więcej można ich używać przy duszeniu pieczeni wołowej, baraniej, a nawet wieprzowej. Mięso nabiera od niej wybornego smaku, a sos ostrości.

Tak przyrządzone rydze należy układać w małe słoiki, żeby cały słoik użyć na raz jeden, kilka razy otwierając słoik, pozbawiamy rydze aromatu.

KONSERWOWANIE KALAFJORÓW NA ZIMĘ

Blisko sufitu czy powały w piwnicy ponaciągać sznurki. Kalafjory, wyrwane późną jesienią, lecz nie tknięte mrozem, powiązać łyżkiem parami i wieszać je na sznurkach tak, aby jedna para drugiej nie dotykała. Przed powieszeniem wszystkie dolne liście obłamać, zostawiając tylko te, które okrywają różę kwiatową.

W dzień okna piwnicy trzymać otwarte, i tylko na noc je zamykać, aby ochronić od mrozu. Często przeglądać głowy, aby wszystkie, zaczynające się psuć, zużyć w czas. Takie psujące się głowy zaraziłyby zgnilizną wszystkie inne.

Tak przechowane kalafjory, o ile nie były nadmarznięte na grzędach, trwają nieraz do Bożego Narodzenia. To jest sposób konserwowania kalafjorów rozwiniętych. Te głowy, które dopiero co się zaczęły formować, należy przechowywać inaczej.

Robi się w piwnicy grządki z piasku i na nich się zasadza kalafjory wyjęte z korzeniami i z ziemią je otaczającą.

Należy to robić natychmiast po wyjęciu z ziemi, aby korzenie nie obeschły. Pożółkłe liście należy usunąć przed przeniesieniem do piwnicy, a pozostałe związać lekko łyżkiem ponad kwiatem. Przeglądać często, aby wybrać na użytek te, które się mogą zacząć psuć.

Oba sposoby są dobre i wypróbowane. Należy tylko używać kalafjorów późnych, twardych gatunków i zupełnie nie tkniętych mrozem. Zmrożonych nic nie uratuje, zgniją w ciągu tygodnia i praca około ich przenoszenia pójdzie na marne.

Pani Elżbieta

„MÓJ KREM“

Wśród powodzi środków wszelkiego rodzaju, trudne jest zorientowanie się nawet dla specjalistów, tem bardziej laików, w wyborze kremu, zwłaszcza jeżeli chodzi o stałe stosowanie.

Często krem nieznanego pochodzenia, spreparowany z nieodpowiednich składników, może przynieść szkodę i zeszpecić twarz na zawsze, lub też na długi okres czasu.

By ułatwić orientację pacjentkom moim, postanowiłam oddać do użytku stosowany przeze mnie krem, pod tytułem: „Mój krem.“ Zestawiałam jedynie składniki pewne, teoretycznie i praktycznie wypróbowane, mając na względzie zastosowanie kremu do skóry suchej i do tłustej.

Jedynie sposób użycia należy indywidualizować, zależnie od rodzaju skóry.

Czynnikiem działającym w moim kremie jest między innymi cetoceum, czyli olbrot, którego punkt topliwości i składniki są bardzo zbliżone do tłuszczu ludzkiego; olbrot wydobywa się z mózgu wieloryba. Przy odpowiednim wcieraniu nadaje on tkance podskórnej elastyczność, działa wygładzająco na zmarszczki, złuszcza i udelikatnia naskórek, tem samem czyni skórę bielszą i delikatniejszą. Po dokładnym zbadaniu i dłuższem zastosowaniu praktycznem, uważam ten krem za zdrowy, przyjemny w użyciu, nader higieniczny. Polecić go mogę na wszelkiego rodzaju skóry, nawet najdelikatniejsze.

Mój krem należy stosować nie tylko okresowo.

- 1) przeciw zmarszczkom,
- 2) dla wygładzenia skóry (opierzchnięcie),
- 3) wybielenia,
- 4) do masażu twarzy,
- 5) jako środek ochronny przy wszelkiego rodzaju zmianach temperatury, na zimno, gorąco, silne wiatry, ale pozatem krem ten nadaje się doskonale do stałego użytku ochronnego pod puder i róż.

Sposób użycia: przy skórze normalnej — ilość bardzo niewielką; przy skórze suchej — wielkość fasoli; przy skórze tłustej — wielkość grochu. Wcierać lekko od wewnątrz t. j. od nosa, do zewnątrz, t. j. do ucha, aż do zupełnego wtarcia około 3 do 5 minut.

Ruchy te mają wielkie znaczenie, albowiem jednocześnie twarz się

masuje — wcierać należy całą dłońią.

Przy stosowaniu kremu należy rozróżnić trzy rodzaje skóry:

I. skóra normalna (bardzo rzadko się spotyka).

II. Skóra tłusta.

III. Skóra sucha.

Skóra normalna, takich prawie niema. Po umyciu w wodzie pokojowej, mydłem neutralnem, na noc wetrzeć krem, następnie przypudrować czystą mączką ryżową.

Skóra tłusta, a) z rozszerzonymi porami i krostami, b) skóra tłusta bez krost — tylko z polyskiem.

Typ pierwszy a) skóry tłustej: rano i wieczór wymyć twarz gorącą wodą, mydłem alkalicznem, obójcnie o jakim zapachu, po umyciu wytrzeć spirytusem 1% salicylowym raz na 24 godzin, następnie wetrzeć krem i lekko przypudrować czystą mączką ryżową.

Typ b) skóry tłustej: rano i wieczorem wymyć twarz wodą ciepłą z dodaniem łyżeczki boraksu, mydłem alkalicznem, wytrzeć twarz spirytusem salicylowym, lecz nie codzień tylko 3 razy w tygodniu następnie wetrzeć krem lekko i silnie przypudrować mączką ryżową.

Typ III. Skórę suchą podzielić można na skórę suchą, nie znoszącą mydła i na skórę suchą, znoszącą mydło.

Skóra sucha a) rano i wieczorem wetrzeć krem lekko, następnie zmyć letnią wodą z łyżeczką boraksu na litr wody, znowu wetrzeć krem i przypudrować.

Osoby, używające farby, mogą prócz wyżej wymienionych sposobów zastosować jeszcze na dzień kremu pod róż, jako ochronę twarzy.

Ulegając prośbom i namowom pacjentek moich po długoletniem i praktycznem zastosowaniu mego kremu, obecnie uzupełniłam go najnowszemi składnikami. Wyrób „Mego kremu“ poleciłam jednej z najsolidniejszych firm, Tow. Akc. Karpiński. Elektoralna 33. Sprzedaż detaliczna narazie tamże.

Dr. Julja Świtalska.

Opis sukien i robót do Nr. 39

745. Kostjum z piaskowego sukna, przybrany rysiami.

746. Palto z wełny w pasy, wykończone plisami i guzikami.

747. Paltocik dla chłopczyka z szewiotu granatowego, przybrany karakułami.

748. Palto z wełny w kratę, przybrane futrem.

749. Palto z angielskiej wełny z odcięta falbaną.

750. Palto z czarnego pluszu, zapinane na duże, dżetowe guziki.

751. Paltocik z kraciastej wełny dla dziewczynki od lat 7 do 12 Przybranie z gładkiego sukna.

752. Ubranko dla chłopczyka od lat 5 do 7 z wełny w kratę. Pasek ponsowy; lakierowany.

753. Suknia z różowego crêpe de chine'u, wyszyta brylancikami.

754. Suknia z crêpe marocain lila rose, przybrana białem futrem.

755. Suknia z tafty piaskowej. Dół z georgette, haftowanej w pasy jedwabiem.

756. Sukienka dla dziewczynki od lat 5 do 7 z welwetu granatowego, przybrana haftem i futerkiem.

757. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 — 6.

758. Sukienka z ciemnego welwetu dla dziewczynki od lat 7 do 12. Kołnierzyk i podbicie kontrafałd z jaśniejszego sukna.

759. Sukienka dla dziewczynki od lat 10 do 14 z wełny w kratę i gładkiego sukna.

760. Sukienka z gładkiej wełny dla dziewczynki od lat 9 do 12.

761. Ubranko dla małego chłopczyka.

762. Serwetka — haft richelieu Wielkość naturalna.

763. Wzór na poduszkę. Aplikacja.

Nadesłane do Redakcji (Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

PANI K. w HUCIE KRÓLEWSKIEJ. Żeby zmieknąć wodę do mycia, radzę stosować LA MOLETTE. Już po kilku dniach mycia zmieknioną wodą, zobaczy Pani różnicę. Najlepiej wsypać łyżeczkę LA MOLETTE do 2 — 3 litrów przegotowanej wody, żeby kilka godzin pozostała i wtedy dopiero używać do mycia. Twarzy i szyi nie myć mydłem, lecz OTRABKAMI ABARIDOWEMI, a wszelkie defekty skóry zginą.

ZOFI S. Odświeżać twarz, nacierając kilka razy dziennie płynem BAUME AUX FRAISES, lub PŁYNNYM GOLDKREMEM ABARIDOWYM. Jako nieszkodliwy puder polecamy pani PUDER ABARID, który nie tylko nie niszczy cery, ale wprost przeciwnie. używany jednocześnie z KREMEM ABARIDOWYM wzmacnia jego działanie i pomaga do wygładzenia skóry.

BLADEJ. Usteczka trwale barwi i ożywia plyn ROSEINA, który nie zmywa się i nie plami, oraz jest zupełnie niewidoczny.

M-me Er ced es.

Środki tu wymienione nabywać można w pierwszorzędnym perfumerjach i drogerjach. Skład główny: Warszawa, Szpitalna 10, perfumerja „Perfection“.

PORADY KOSMETYCZNE

PANI ST. WK. Daleko łatwiej i lepszy skutek osiągnie Pani zapomocą PIGMINU, przywracającego włosom kolor pierwotny. Czy wysłać?

P. KALINIE. Krajowy krem LETYCJA albo franc. SALOME, cera przestanie się łuszczyć.

ADZIUNI. Wybieli ang. metamorphosa JERSEY.

Zapytania należy kierować: Skrz. poczt. Nr 594. Dział kosmet.

Marki poczt. za 30 gr. trzeba załączyć. Roemer.